

**Przedmowa**

*Gdyby w upalnym dniu, nam spragnionym, podano dwie szklanki wody informując, że w pierwszej woda została zaczerpnięta z ujścia Wisły do Bałtyku, a w drugiej pochodzi z samych źródeł Wisły, bez wahania sięgnęlibyśmy po wodę ze źródła -- czystą, rokującą zdrowie.*

*Podobnie rzecz się ma w sferze ducha. Nie bez wpływu Ducha Świętego. Ojcowie Soboru Watykańskiego II wiele dobrego w tym względzie uczynili.*

*W wierzących rodzi się i rośnie głód poznania Pisma Świętego, nie tyle jako źródła wiedzy (ta bowiem po dwóch tysiącach lat jest ogromna), co raczej jako mocy Bożej przemieniającej człowieka.*

*W tym klimacie w latach 1980 -- 81 grupa Kapłanów -- Jezuitów, prowadzących ośrodki akademickie prosiła swego kolegę ks. Alfreda Cholewińskiego, biblistę z wykształcenia, o pomoc.*

*Przez dwa lata z rzędu pod koniec czerwca spotykaliśmy się w nielicznym gronie w Zakopanem u Jezuitów pod Gubałówką na "Górcie", by przez kilka dni słuchać wtajemniczeń w dynamikę życia chrześcijańskiego według Pisma Świętego.*

*Dobrze się stało, że te wykłady w drugim roku naszych spotkań zostały utrwalone na taśmie magnetofonowej. Z czasem spisał je w formie skryptu kleryk teologii zauroczony wartością syntez duchowości biblijnej.*

*Całe lata ów skrypt żył i karmił wielu (zwłaszcza na "obozach biblijnych") bezustannie powielany na ksero. Co wartościowe, piękne i dobre broni się samo. Nie gasnące "powodzenie" skryptu upomniało się o przygotowanie do druku.*

*Bywają książki, które narodziły się drukiem tylko dlatego, że ich autorzy tego pragnęli, a czytelnicy a czytelnicy postanawiają być bardziej ostrożni przy kolejnych zakupach. Bywają książki, których "życia" pragnęli i autor i czytelnicy.*

*W przypadku tej książki jej autor mógł co najwyżej z Nieba wpływać na jej narodziny. W gruncie rzeczy jej walory powołały ją do życia drukiem. Tym samym jej autor będzie mógł kontynuować swe wykłady spod Gubałówki dla spragnionych "wód życia" w Księgach Natchnionych, zwłaszcza że w jego życiu Wiara i Nadzieja już zgasły, a wybuchła Miłość.*

o. Mieczysław Wołoszyn SJ

---

Chciałbym w oparciu o Biblię przedstawić ABC chrześcijaństwa. Czym ono jest? Jak je Pan Bóg sobie wyobraża? Po co w ogóle zainicjował taki fakt w historii ludzkości?

Pragnę w świetle tych najbardziej ogólnych, ale też i najbardziej istotnych problemów zweryfikować to, co my w Kościele robimy i jak żyjemy. Czy to jest zgodne z zamiarem Boga?

Po co jest Kościół?

Jaką mu Bóg powierzył misję?

Dlaczego Chrystus zostawił go na ziemi?

Zacznijmy więc od sedna rzeczy, by później wychodząc od rdzenia chrześcijaństwa wyprowadzić wnioski bardziej praktyczne.

Dlaczego w ogóle zgodziłem się przyjechać na ten Zjazd? Ponieważ odnoszę wrażenie, że w Kościele panuje spore zamglenie, gdy chodzi o świadomość, czym jest Ewangelia i co ona głosi. Księża jakoś nie zdają sobie z tego sprawy. Nie mają w głowie jakiegoś kośćca. Takiego jasnego szkieletu, który dawałby im orientację. Dlatego to, co słyszę w kazaniach po kościołach w niedzielę, w 80% to nie jest Ewangelia. Tam się jakąś inną religię przepowiada, ale nie chrześcijańską.

To świadczy o tym, jak jesteśmy zagubieni, jak nie wiemy, co jest dobrym ziarnem. Jak nam się tutaj idee mieszają. A wydaje mi się, że na tym odcinku mam coś do powiedzenia, że mam tu jasne idee, które wypływają z tego źródła naszej wiary, jakim jest Pismo Św.

Proszę także o słuchanie bez nastawienia wybiórczego, bez wyławiania tego, co mi odpowiada. Innych rzeczy nie słyszę, albo zaraz je zapominam, ponieważ, to nie jest to, czego pragnę słuchać. Naprawdę słucham wtedy, gdy uważam, że ten który mówi, może mieć mi coś do powiedzenia: coś ważnego, coś prawdziwego. Może mieć, to nie znaczy, że zawsze ma. O taką gotowość słuchania bardzo proszę.

Do tych rzeczy podchodzę z wiarą. Wierzę bowiem, że Bóg tu i teraz chce nam coś dać, żebyśmy więc tego nie zmarnowali, bo inaczej zagłębianie się w ten problem nie będzie miało sensu. Inaczej byłaby to tylko strata czasu.

W pierwszej części przedstawimy problem najbardziej centralny, trochę dogmatyczny, trochę biblijny. On jeszcze będzie mało praktyczny. Dopiero stamtąd, z tego środka, krok za krokiem będziemy wysnuwali wnioski, które nam będą rzucały światło na praktykę naszego życia, na naszą pracę duszpasterską. Tym problemem będzie to, co teologia fachowo nazywa kerygmatem w ścisłym znaczeniu. To znaczy kerygmatem apostoelskim, tym, co stanowiło temat przepowiadania pierwszych apostołów.

Dzieje Apostolskie relacjonują to w sześciu miejscach: w trzech miejscach bardziej szczegółowo, a w trzech innych w najogólniejszym zarysie. To jest to, co moglibyśmy nazwać sednem Ewangelii, jej głównym nerwem, sercem. To, co stanowi o tym, że Ewangelia jest Dobrą Nowiną, a nie uciążliwą nowiną dla człowieka.

Jezus nie tylko otworzył nam Niebo (okrojone przyjęcie Dobrej Nowiny)

Skonfrontujmy najpierw ten kerygmat (gr. keryssein -- głosić, przepowiadać) z powszechnym ujęciem, jakie mają w głowach nasi ludzie, ci, z którymi się spotykamy.

To jest schemat, który ludzie mają w głowach, a księża na ambonach i w konfesjonalach prezentują. Według tego schematu daje się ludziom rady, dokonuje się wyborów duszpasterskich.

Jaki jest ten schemat, który nie będzie naszym schematem, który będzie skonfrontowany i zastąpiony jakby innym? Wielu do tego schematu wstydziłoby się przyznać, ale on de facto istnieje w głowach ludzi, w głowach masy księży i wielu biskupów.

Można by go z grubsza w ten sposób opisać: Pan Bóg dał człowiekowi w raju życie nadprzyrodzone. Dał mu udział w swoim życiu i dał mu to, co nazywamy Łaską Bożą. I człowiek miał ten dar jakby uczynić swoim przez próbę, którą miał przejść.

Ta próba polegała na daniu przykazania, które jest symbolicznie wyrażone w Piśmie Św. w formie zakazu: "Nie będziesz spożywał owoców z jednego drzewa -- dobra i zła". Próba skończyła się negatywnie. Pierwszy człowiek tego przykazania nie wypełnił. Przekroczył je i wskutek tego utracił życie wieczne.

A życie wieczne miało dać człowiekowi wstęp do nieba. Miało mu zapewnić szczęśliwą wieczność z Bogiem. Teraz niebo przed nim się zamknęło i dla ludzi nie ma ratunku. Na ludzi przyszedł grzech pierworodny.

Jest on zawinionym brakiem Życia Bożego, które miało w nas być, które miało się w nas pojawić równocześnie z rodzeniem i być przekazywane w akcie rodzenia. Tak wyjaśnia później ów dogmat Sobór Trydencki, że to miało się dokonać w sposób jakby paralelny z biologicznym, na drodze przekazywania życia.

Człowiek teraz przekazuje życie z brakiem Łaski Bożej. I ten zawiniony brak łaski nazywa się grzechem pierworodnym.

I dotąd interpretacja jest dobra, tego nie będziemy zwalczać. Niebo jest zamknięte i cały rodzaj ludzki znajduje się w rozpaczliwej sytuacji. Cały jest skazany na wiekiustą zagładę. Grzech pierworodny swój owoc pokazuje w grzechach indywidualnych, które w każdym człowieku prędzej czy później wychodzą na powierzchnię. Tym samym człowiek jakby przypieczętowuje ten swój stan odłączenia od Boga, zasługując jednocześnie na wiekiuste potępienie. Z tej tragicznej sytuacji nie było wyjścia.

Dlaczego? (Tu jest ta teoria, którą będziemy uzupełniać, korygować i rozszerzać jej ciasne horyzonty.) Dlaczego nie było wyjścia?

Dlatego, że grzech pierworodny i nasze grzechy osobiste powodują nieskończoną obrazę Pana Boga. I człowiek teraz nie potrafi sam tej nieskończonej obrazę naprawić. Nie potrafi zadośćuczynić za swój grzech. Nie potrafi Bogu złożyć wystarczającej satysfakcji, wynagrodzenia, ponieważ wszystko, cokolwiek czyni, jest skończone. Człowiek jest istotą skończoną i każdy jego czyn ma, niestety, tylko wymiar skończony. Natomiast grzech, którym obraził nieskończonego Boga, posiada wymiar nieskończony.

Dlatego człowiek jest bezradny. Sam z tej sytuacji nie potrafi wyjść, choćby się nie wiadomo jak starał. Choćby robił wszystko, co może, nie potrafi Bogu wynagrodzić, naprawić tego, co grzechem zepsuł. Nie potrafi Panu Bogu złożyć nieskończonego wynagrodzenia.

I dlatego -- mówi ta teoria, która jest jakby eksplikacją dogmatu o Odkupieniu -- trzeba było wcielenia Syna Bożego. Dlatego, że wcielenie Syna Bożego stwarza sytuację pojawienia się kogoś, kto jest jednocześnie Bogiem i człowiekiem w jednej osobie. Jako człowiek może w naszym imieniu złożyć Panu Bogu odpowiednie wynagrodzenie. I to wynagrodzenie jest dopiero w jego wypadku równe nieskończonej obrazę Boga, bo On jest również Bogiem. I to wynagrodzenie, które Bogu złoży, posiada również wymiar nieskończony. Nieskończona obraza będzie mogła wreszcie być zlikwidowana nieskończonym wynagrodzeniem złożonym przez Syna Bożego. Dlatego Jezus się rodzi, żyje wśród nas, składa Bogu to nieskończone wynagrodzenie, którym przez swoją śmierć krzyżową, wyrównuje grzech człowieka.

Ta teoria bardzo podkreśla śmierć. Właściwie tylko podkreśla śmierć. To jest ten moment, w którym Syn Boży w imieniu grzesznej ludzkości kładzie z drugiej strony na szalę nieskończone wynagrodzenie, wyrównujące nieskończoną obrazę. Bóg Ojciec jest nareszcie prześlany jak trzeba za nasze grzechy i dlatego wielkodusznie dla ludzkości zaczyna nową erę. Podwoje niebios się otwierają. Brama jest znowu otwarta na oścież i ludzkość może w nią wejść. To jest w tej teorii Dobrą Nowiną (faktycznie, to także jest Dobrą Nowiną dla ludzkości).

Ale tutaj ta Dobra Nowina się kończy. To co dalej się ludziom mówi, co ludzie myślą, nie jest już Dobrą Nowiną. Dlatego, że mówi się: "Niebo jest już otwarte. Jezus już złożył za nas zadośćuczynienie Panu Bogu. No i teraz my 'wszyscy ludzie' starajmy się wejść do tego nieba, bo ono jest już otwarte. Teraz nasz wysiłek przyniesie owoce. Owoce życia wiecznego".

Dlatego zaczyna się teraz cała ta strona, którą ludzie doskonale znają. Cały ten bagaż moralizowania. Mianowicie: "Dzieło odkupienia dokonane. Jezus Chrystus złożył Panu Bogu zadośćuczynienie za nas. Prześlany Bóg otworzył znowu niebo, życie wieczne jest dla nas możliwe. I starajmy się, wysilajmy się, pracujmy nad sobą. Róbmy wszystko co możliwe. Bądź dobrym mężem, żoną... Zachowuj przykazania". Wszystko w ten worek wpychamy i kładziemy go grzecznie ludziom na ramiona. Dla pociechy mówimy im: "Nie jesteś w tych sprawach sam. Bóg ci pomaga. Przecież po to ustanowił sakramenty, żeby ci w tym pomagały".

Tylko, że ludzie tu stwierdzają jedną dziwną rzecz. Te sakramenty jakoś słabo pomagają. Chodzę do spowiedzi, przystępuję do Komunii Św., a właściwie sytuacja się niewiele zmienia. Jestem właściwie taki jak zawsze byłem.

To jest ta teoria, która ma prawo obywatelstwa w głowach ludzi. To jest to, z czego my często wychodzimy mówiąc o Odkupieniu. Mówiąc o tym, jak funkcjonuje zbawienie Boże, o co właściwie w Kościele chodzi.

Otóż o tym schemacie mówimy, że jest on co najmniej niewystarczający, niepełny. Można by tu użyć takiego porównania: Odkupienie -- jako dogmat -- to jest jakby wielki ocean, a ta teoria byłaby butelką, która zawiera wodę z tego oceanu, ale o której nigdy nie możemy powiedzieć, że to jest ocean. To nie jest Dobra Nowina. Dobra Nowina to jest coś więcej, coś szerszej. To jest coś, co naprawdę człowieka stawia na nogi. Co naprawdę raduje serce człowieka. Co daje perspektywę i nadzieję, co mu również daje moc.

Czego w tej teorii brakuje? Przede wszystkim ona akceptuje tylko Mękę i śmierć Pana Jezusa (bo to jest moment wynagrodzenia). Natomiast zmartwychwstanie nie ma już takich dobrych eksplikacji. Zmartwychwstanie w tej teorii schodzi do rzędu jakiegoś dowodu na bóstwo Jezusa. Albo osobistej gratyfikacji, jaką Bóg Ojciec dał swojemu Synowi za trudy męki. Nie widać w tej teorii, jak się tu ma

zdanie św. Pawła z Listu do Rzymian z końca czwartego rozdziału: „On został wydany za nasze grzechy i wskrzeszony z martwych dla naszego usprawiedliwienia”.

Jezus zmartwychwstał nie dla siebie, ale dla nas. Zmartwychwstanie jest bardzo ważne dla nas i jest dla nas również pożyteczne. Tak jak wszystko, co się stało z Jezusem Chrystusem. Jego przyjście, życie i śmierć. Zmartwychwstanie dokonało się dla naszego usprawiedliwienia. W tej teorii nie widać, jak to się dzieje.

Dalej, ta teoria jest bardzo jurydyczna. To znaczy, wychodzi z założenia, które nie jest biblijne, z założenia, że grzech jest obrażą Boga, że grzech jest zniszczeniem jakiegoś abstrakcyjnego, przez Boga ustanowionego porządku moralnego i ten porządek musi być naprawiony. On musi być naprawiony albo przez karę grzeszników, albo przez jakiś wyjątkowy czyn. Właśnie tak, jak to Jezus zrobił swoją męką i śmiercią. Ten porządek tylko tak może być wyrównany. Ponieważ grzech jest zniszczeniem tego porządku ustanowionego przez Boga, jest również i obrażą Boga, który jest jego twórcą. Jest osmieleniem się do buntu przeciw Bogu, jakby pokazaniem Mu pleców. (My te obrazy bardzo antropomorfizujemy). Jest to coś takiego, jak byśmy kogoś uderzyli w twarz. Ten ktoś później jest na nas śmiertelnie obrażony i musimy coś zrobić, żeby go udobruchać. Tak my to wszystko rozumiemy.

Brak jest w tej teorii podejścia egzystencjalnego, które jest podejściem na wskroś biblijnym. Stwierdza ono, że ludzkość zaciągnęła okropny dług względem Pana Boga. Przyszedł Syn Boży, który ten dług wyrównał. Ale to wszystko dzieje się nad naszymi głowami. To osobiście mnie nie dotyczy. Ja się o tym wszystkim tylko dowiaduję. Dowiaduję się, iż kiedyś w zaraniu ludzkości zdarzyła się ta wielka katastrofa ludzkości z Adamem i Ewą na czele. Niebo się zatrasnęło i nie było dla nas nadziei. Jednak Bóg był tak dobry i posłał swojego Syna. I ten Syn złożył Panu Bogu za mnie wynagrodzenie. W tej chwili niebo jest już otwarte. O tym wszystkim się tylko dowiaduję. Coś ponad moją głowę wydarzyło się w przeszłości. Było strasznie źle, teraz jest już dobrze. Ja się dowiaduję, że muszę się teraz wysilać, żeby nie zmarnować tego wszystkiego, co Bóg dla mnie zrobił, aby śmierć Chrystusa nie była dla mnie daremna. O tym się dowiaduję, ale to mnie wewnętrznie nie zmienia.

Żeby to jeszcze lepiej zilustrować, użyjmy tu pewnego obrazu. Otóż za nasze grzechy jesteśmy skazani na dożywotnie więzienie. Siedzimy w tym więzieniu. I teraz odkupienie w tej teorii polega na tym, że nagle przychodzi wiadomość: "Słuchaj. Jezus Chrystus przyszedł do więzienia i powiedział: Ja za ciebie odsiedzę! Ty wyjdź na wolność!" No dobrze, ale jeżeli ja miałem przedtem serce złodzieja, zbója, mordercy, lubieżnika, mam je dalej. Jeszcze się nic we mnie nie zmieniło. Jestem taki, jaki byłem.

To jest Odkupienie jakby zewnętrzne, jurydyczne. Ono nie dotyka serca człowieka. Ono mnie nie zmienia. Tymczasem ja czuję, że problem siedzi gdzieś w środku. Dlatego Ewangelia w powszechnym odczuciu ludzi nie jest Dobrą Nowiną.

Niby mówi się: "Ewangelia, Ewangelia -- Dobra Nowina ". No, kochany, pokaż mi, co jest dobrego w tej Ewangelii, którą ty przepowiadasz. Ty mi mówisz tylko, co mam robić. To jest uciążliwa nowina.

Ludzie w większości mają takie doświadczenie. Chrześcijaństwo jest furą przykazań do zachowania, ciężkim wozem, który trzeba ciągnąć. No, niby pomaga mi w tym Bóg, ale ja czuję, że ta pomoc jest słaba, że ona mi moich problemów życiowych nie rozwiązuje. Ona mnie z grzechów na dalszą metę nie wyprowadza. Na nowo w nie wpadam. Co jest? Coś tu nie gra.

Powinniśmy sobie to wszystko dobrze uświadomić, gdyż taką koncepcję zbawienia mają ludzie w swoich głowach. Może nie jest ona jasno uświadomiona. Kiedyś zapytałem pewną dziewczynę, która co niedzielę chodzi do kościoła, na religię uczęszczała do dwunastej klasy włącznie: "Na czym polega Ewangelia? Jak ty ją rozumiesz? Jak rozumiesz Odkupienie?" Nie umiała odpowiedzieć. Przedstawiłem jej powyższą teorię. Wtedy odpowiedziała: "No tak, no tak, tak księża mówili. (No i co jeszcze) Nic więcej". Tak ludzie de facto powszechnie myślą.

Skąd człowiek czerpał szczęście na początku?

Skonfrontujmy teraz te teorie z tym, co na temat Dobrej Nowiny mówi Biblia -- norma naszej wiary. W tym, co będziemy rozważać, pójdziemy etapami historii zbawienia. Będziemy szli etapami dlatego, że Pismo Św. ten temat tak nam właśnie przedstawia.

Etap pierwszy -- historia ludzkości przed upadkiem

My tu abstrahujemy od tego, czy ten etap przed upadkiem istniał, czy nie istniał, w jakiej formie istniał. Będziemy się trzymali opisu biblijnego -- Słowa Bożego.

Nawiasem tu mówię, że są różne teorie odnośnie tej sprawy. Czy tak było naprawdę? Oczywiście nie było tak naprawdę, jak Biblia opisuje. Nie było nigdzie raju. Głupim jest pytanie, w jakiej części geograficznej istniał raj. Raj jest to symboliczny opis, który przedstawia wewnętrzną sytuację człowieka.

Ale jest problem, czy ta wewnętrzna sytuacja człowieka naprawdę istniała przed upadkiem? To jest problem. Ponieważ to wydaje się niezgodne z nauką o ewolucji, która mówi, że ludzkość wychodziła ze stanu barbarzyństwa. Jeszcze niżej, ze stanu półzwierzęcego, zwierzęcego. I powoli się cywilizowała. Powoli rosła jej kultura. Powoli rosła świadomość ludzkości.

To, co mówi Biblia, kazałoby przyjąć, że gdzieś w zaraniu, setki tysięcy lat temu istniał taki moment. Nie wiadomo jak długi. Mniej lub więcej krótki. Jakiegoś blasku, oświecenia. Kiedy ludzkość żyła na szczytach świadomości tego, kim jest, jakie ma Bóg względem niej plany, o co Bogu chodzi. A przez grzech wszystko to później utraciła.

Czy nauka nas do tego uprawnia, żebyśmy moment takiego światła, jakiegoś blasku przyjęli? Powiedzmy, kiedy ludzkość materialnie i kulturalnie jest na niskim poziomie, ale duchowo jest na najwyższych szczytach. Czy mamy prawo coś takiego przyjmować?

We współczesnej teologii istnieje tendencja, żeby postawić znak równości między protologią (nauka o prawdach, które były na początku ludzkości) a eschatologią. Czyli to, co opisuje Księga Rodzaju, nigdy nie miałyby miejsca. To jest jakby przedstawienie na początku Pisma Św. zamiarów Pana Boga wobec ludzkości. Ku czemu zmierza historia zbawienia, a co będzie osiągnięte na końcu, gdy przyjdzie definitywnie koniec eschatologii.

To jest dzisiaj teoria dość modna i szeroko lansowana przez teologię. Ona ma ten minus, że nie bardzo zgadza się z tym, co Kościół o tych sprawach dotychczas myślał.

Opis grzechu, według tej teorii, miałby jedynie charakter typologiczny. To znaczy, że grzech Adama i Ewy opisany w Ks. Rodzaju jest typem każdego grzechu. W nim każdy może się przejrzeć. W tym grzechu każdy z nas może zrozumieć, jak funkcjonuje w nim mechanizm zła, w jaki sposób dochodzi w nim do grzechu, co się właściwie wtedy dzieje z człowiekiem.

Oczywiście, że protologia jest także eschatologią. To znaczy, że Bóg zmierza do tego, żeby przywrócić sytuację raju wśród ludzkości. Do tego zmierza historia zbawienia. Z tym trzeba się zgodzić. Jest tylko pytanie. Czy w tym się wyczerpuje intencja doktrynalna tego urywka?

Otóż cała teologia tradycyjna plus połowa dzisiejszych poważnych teologów jest zdania, że nie. Powiadają, że Biblia mówi to, co było na początku. Nie widzą jakichś trudności w tym, żeby w pewnym momencie, w przyszłości, ludzkość jakby fizjologicznie, biologicznie do tego dojrzała. Kiedy ta świadomość mogła być już świadomością ludzką, że człowiek sobie to, o czym mówi opis biblijny, jasno uświadomił.

Pomagam sobie w wyjaśnianiu tego problemu następującym przykładem. Stosuję tu analogię do małego dziecka, które przez chrzest otrzymuje życie Boże w zarodku. I ten zarodek jest jak ziarno całym przyszłym drzewem, które z niego wyrośnie. Ono jest już w nim zawarte. Bóg rzeczywiście w ludzkość włożył te wszystkie dary, o których jest mowa w Ks. Rodzaju. Tylko że ludzkość od początku nie musiała ich w pełni sobie uświadamiać. Owe dary były ziarnem. W miarę jak ludzkość się będzie rozwijać w swojej kulturze, w swojej cywilizacji, będą coraz bardziej uświadamiane. To wszystko wystąpi nie tylko w świadomości, ale także przyniesie owoce w zachowaniu człowieka.

Uważam, że bardzo trudno będzie w tej nowej teorii udowodnić, że tu jest tylko mowa o eschatologii. Trudno będzie udowodnić zgodność z dogmatem o grzechu pierworodnym.

My w tej chwili zajmujemy się jak gdyby klinicznym obrazem sytuacji człowieka z 1 i 2 rozdziału Ks. Rodzaju, który był bez grzechu. Otóż Bóg stworzył człowieka jako istotę doskonałą, której niczego nie brakowało w swojej doskonałości, harmonii.

Pamiętajmy, że w tych rozdziałach Ks. Rodzaju jest zawarta intencja polemiczna wobec sposobu wiary sąsiednich narodów odnośnie człowieka i jego genezy.

Według babilońskich i innych mitów (Enuma Elisz) człowiek jest ze swojej natury zły, ponieważ jest stworzony z krwi boga Kingu, który był bogiem buntownikiem. On jako pierwszy wprowadził rozłam w świat bogów. Paru z nich nawet zakatrupił. Wytworzyła się wojna między bogami. Boga Kingu ujarzmił bóg Marduk.

Później zwołano naradę bogów, aby zdecydować, co zrobić z tym gagatkiem. Zapadła decyzja, aby zabić boga Kingu i z jego krwi zmieszanej z gliną stworzyć człowieka. I w tej koncepcji człowiek jest jakby tym zlepkiem, w którym bogowie skanalizowali zło w nich tkwiące. Człowiek ma naturę z istoty swej złą. Taka była nauka starożytności.

Z tym polemizuje Biblia mówiąc, że człowiek wyszedł z ręki Boga doskonały, jako istota zharmonizowana. Nic mu nie brakowało. To jest to, co mówi Pismo w Ps. 8: "Otoczyłeś go chwałą i czią". Człowiek był królem stworzenia.

Ta prawda jest treścią Ks. Rodzaju "Stworzył go na obraz i podobieństwo swoje" (Rdz 1,27). "Obraz i podobieństwo" jest używane w literaturze egipskiej i babilońskiej tylko w odniesieniu do króla. Mówi się o królach panujących, zgodnie z teologią wschodnią, że król jest obrazem i podobieństwem boga Marduka czy podobieństwem boga Rew w Egipcie itp. Obraz i podobieństwo boga znaczy, że bóg jest obecny dla poddanych w królu. On go reprezentuje, przedstawia jakby w widzialny sposób dla poddanych.

Przeniesienie tego teologumenu przez Biblię na człowieka jako takiego chce powiedzieć, że każdy człowiek posiada godność królewską w odniesieniu do całego świata, że jest widzialnym reprezentantem Boga, Jego obrazem dla całego stworzenia. Jak król w imieniu Boga rządzi swymi poddanymi, tak Pismo Św. mówi do człowieka: "Ty masz rządzić całym światem".

To prawo rządzenia jest wypowiedziane w sposób dość drastyczny. Jest tu użyty wyraz hebrajski, który znaczy: "Ty możesz deptać po stworzeniach, one są na twoje usługi". Władza królewska była tak absolutna, że deptanie po ludziach było czymś normalnym. Zwłaszcza w czasie wojny, względem wrogów.

Nas najbardziej tu interesuje relacja człowieka do Boga. Otóż człowiek żył w intymności z Panem Bogiem. To właśnie wyraża antropomorficzny obraz tych popołudniowych przechadzek Pana Boga przy wietrzyku po rajskim ogrodzie. Jeszcze jak sobie puścimy wodze fantazji, to widzimy, jak spotyka Adama, który gdzieś tam kopie grządkę. Klepie go po ramieniu i pyta: "Co tam słyhać, Adasiu kochany? Jak ci dzisiaj szło, zadowolony jesteś? Niczego ci nie brakuje?".

Człowiek był stworzony jako istota, która swoje życie czerpie tylko z Boga. Poczucie bezpieczeństwa człowiek bierze z Boga. To poczucie, że jest kochany przez kogoś, (jest to potrzebne do życia człowiekowi do tego stopnia, że można śmiało postawić znak równości "żyć to znaczy kochać i być kochanym" ), człowiek czerpał z Boga. Można by to tak powiedzieć, że człowiek jak drzewo był wkorzeniony w Boga, z którego czerpał wszystko, co potrzebne jest do życia. Tym był Bóg, stamtąd przychodziło życie.

Posłużmy się tu naszą sytuacją, znaną nam ze stosunków między ludźmi. Każdy człowiek zabiega, żeby mieć wpływowe przyjaźnie, bo wtedy czuje się pewniej, wtedy wszystko załatwi. Czuje się bardzo mocny prestiżowo, bo ma jakiegoś wysoko urodzonego czy bardzo ważnego w życiu społecznym przyjaciela, do którego może osobiście zadzwonić. Człowiek czuje się wtedy pewny, bo wie, że on wszystko załatwi i zawsze pomoże. Kiedyś to zabezpieczenie człowiek czerpał z Boga.

To, co mówię, jest proroczą zapowiedzią tego, co już teraz daje nam zmartwychwstały Chrystus, który przywraca ludzkości to, co kiedyś straciła. Pismo Św. nam mówi, że ta relacja, jaka jest dzisiaj, była już wtedy; człowiek żył tym poczuciem, że jest kochany przez Boga. On tę miłość odczuwał. Tę miłość do Boga również w sposób naturalny i spontaniczny posiadał.

To jest to, co mówi Pismo Św. na temat życia odrodzonego w Chrystusie, że Duch Św. daje człowiekowi poczucie, że jest kochany, że Bóg go kocha. I wtedy w jego sercu pojawia się okrzyk pełen miłości i zaufania: "Abba, Ojciec". Czymś takim żył człowiek przed upadkiem, kiedy jeszcze nie było grzechu.

Ta miłość sprawiła również, że człowiek w sposób naturalny odczuwał miłość do innych ludzi. I tutaj wyrazem tego jest jego żona, która w intencji drugiego rozdziału Ks. Rodzaju jest jakby typem nie tylko życia małżeńskiego, ale w ogóle typem całego życia społecznego. Człowiek jest stworzony do życia społecznego, którego główną regułą jest reguła miłości, wzajemnej pomocy. Czyli przeciwieństwo egoizmu. Ja pomagam drugiemu człowiekowi, ja żyję dla niego.

Tak wyglądała sytuacja człowieka w raju. Do jego konstytucji należało jeszcze życie Słowem Bożym. Biblia przedstawia tę sytuację w nakazie: "Z tego jednego drzewa nie możesz jeść". Ten zakaz był dla człowieka zbawienny, ponieważ mu przypominał, że jest stworzeniem, że twoje miejsce jest takie a nie inne. Chodzi o to, żeby królik zgodził się na to, że jest królikiem, a nie pretendował do tego, żeby być koniem. Aby koń był zadowolony, że jest koniem a nie pretendował do tego, żeby być słoniem.

Człowieku, pamiętaj, że jesteś tylko człowiekiem. Dlatego człowiekowi zabroniona jest autonomia moralna. Czyli prawo decydowania o tym, co jest moralnie dobre dla mnie, a co jest moralnie złe. O tym decyduje Bóg. Bóg tylko chciał, aby człowiek to uznał. To była treść tego pierwszego słowa, które Bóg skierował do człowieka. I człowiek tym słowem żył. Człowiek żył zadowolony w poczuciu, że jest na swoim miejscu, że wszystko naokoło gra, że jest dobrze.

Św. Paweł w 7 rozdziale Listu do Rzymian mówi o pierwszym człowieku: "Kiedyś ja prowadziłem życie bez prawa" (Rz 7,9). Cały fragment tego rozdziału jest opisem sytuacji człowieka przed upadkiem: człowiek w raju bez prawa. Nie w tym sensie, że nie miał żadnego prawa. Tylko w tym sensie, że prawo było zinterioryzowane, wewnętrzne. Ono było mu zapisane w sercu i dlatego nie odczuwał prawa jako ciężaru zewnętrznego, jako jarzma na nim ciężącego. Tak jak my to dzisiaj odczuwamy.

To była jak gdyby pierwsza scena dramatu, sytuacja człowieka stworzonego przez Pana Boga. Sytuacja człowieka, który otrzymał od Boga naturę taką, że życie mu będzie płynęło tylko z Boga. Człowieku, będziesz zadowolony i tylko wtedy będziesz szczęśliwy, gdy w tym będziesz trwał. To życie ode Mnie będzie ci płynęło...

Gdybyśmy tak hipotetycznie zapytali pierwszego człowieka: "Czego potrzebujesz do szczęścia? Czego ci brak?" odpowiedziałby, że do szczęścia potrzebuje tylko i wyłącznie Boga. My dziś mówimy inaczej.

Gdyby dzisiejszemu człowiekowi postawiono takie pytanie, odpowiedziałby: "Do szczęścia potrzebuję pieniędzy, rodziny, małżeństwa, samochodu, domu, lepszej pracy, innej teściowej itd, itp". Nikt z zapytanych, tak przez zaskoczenie, nie odpowiedziałby: "Ja do szczęścia potrzebuję Boga". Dziś człowiekowi taka potrzeba nie rodzi się w głowie.

Tymczasem nasza natura jest tak stworzona przez Pana Boga, że do szczęścia jest nam potrzebny wyłącznie i jedynie Bóg. Wszystko inne jest względne. Wszystko inne jest dobre i przyczynia się do szczęścia, ale nie jest istotne. Brak tych innych rzeczy szczęścia nie zabiera, nie daje człowiekowi poczucia, że traci grunt pod nogami. Nie daje człowiekowi tego poczucia, że wpada w przepaść bez dna, nie wiadomo co się teraz ze mną dzieje. Nie daje poczucia tej determinacji, którą teraz posiadamy. Wszystko inne jest relatywne. To znaczy, wszystko inne jest dobre, jeśli jest używane w Bogu, ale zawsze Bóg jest najważniejszy.

To jest bardzo ważne i dobrze powinniśmy sobie to uświadomić, dlatego że my jakby trochę wstydzimy się o tym mówić (bo tak się sprawy mają) i ludzi do tego zachęcać. My, gdy dzisiaj przepowiadamy, to całą pasję wkładamy w problemy, że ty, człowieku, masz prawo do domu, pracy, pieniędzy itp. A jakoś tak cichuteńko, po cichu mówimy: "Ty masz prawo do Boga. Twoim życiem jest Bóg, a nie te wszystkie rzeczy". Tak mówimy, jakby od innych rzeczy zależało twoje życie, twoje szczęście. A Pan Bóg jako taki dodatek, ukoronowanie, jako kompot do zasadniczego dania. A jest przecież na odwrót.

Dlatego w dalszych rozważaniach będziemy robić małe wycieczki w kierunku praktyki, w kierunku tego, czego się wstydzimy, w kierunku naszych tendencji do tego, co powinniśmy przepowiadać.

Skąd człowiek usiłuje czerpać szczęście po Upadku?

Tutaj przychodzi ten fragment Ks. Rodzaju, który dobrze znamy, a który tłumaczy wiele spraw także w naszej sytuacji: "Wąż był najbardziej przebiegły ze wszystkich zwierząt polnych, które Jahwe Bóg stworzył" (Rdz 3,1a). Wąż jest symbolem jakiejś siły, która jest zewnętrzna człowiekowi, siły zła. Ks. Mądrości komentując ten fragment (Mdr 2,24) zidentyfikowała węża jako szatana, kusiciela.

Pismo Św. mówi, że zło nie narodziło się w sercu człowieka, tylko zostało zasiane tam z zewnątrz: "On to rzekł do niewiasty: Czy to prawda, że Bóg powiedział, nie jedzcie owoców ze wszystkich drzew tego ogrodu?" (Rdz 3,1b). Zakaz de facto dotyczył jednego drzewa. Ewa zaraz to mu sprostuje: "Nie, nie ze wszystkich". Jest tu jakby kłótnia o ten wyraz: "wszystkie" czy "jedno". Jak się właściwie sprawy mają?

Tu rodzi się pytanie: Czemu to przeinaczenie? Czemu diabeł powiedział "ze wszystkich?" Czy on przypadkowo się przejęczył? Nie, to nie było przypadkowe. To było bardzo sprytnie sformułowane. Ono zmierzało do tego, żeby człowiekowi uświadomić, że jego wolność jest tego rodzaju, że wystarczy jeden zakaz, abyś ty człowieku nie był wolny. I na tym będzie zawsze szatan bazował w kuszeniu człowieka. To nic, że ci wolno robić sto rzeczy, ale jednej ci nie wolno. I teraz nie ludź się, że jesteś wolny. Chcę ci powiedzieć, że cała ta twoja wolność jest pozorem. Natomiast naga prawda jest taka, że ty nie jesteś wolny. To, co stanowi twoją godność, najbardziej zaszczytne wyposażenie, twój tytuł do chwały, to jest fikcja, to nie istnieje. Do tego zmierzało to przeinaczenie: "ze wszystkich drzew", aby w człowieku rzeczywiście zrodziło się poczucie krzywdy. No, faktycznie, tak się sprawy mają, nie wolno mi jednej rzeczy robić. Dlaczego mi nie wolno tej jednej rzeczy robić? I zaraz rodzą się jeszcze dalsze pytania.

Niewiasta odpowiedziała wężowi: "Owoce z drzew tego ogrodu jeść możemy, tylko o owocach z drzewa, które jest w środku ogrodu, Bóg powiedział: Nie wolno wam jeść z niego, a nawet go dotykać, abyście nie pomarli" (Rdz 3,2-3). W tej odpowiedzi, która jest cytatem Słowa Bożego, słowem, którym pierwszy człowiek żył, mamy podstawowe i fundamentalne stwierdzenie, że grzech i śmierć są ze sobą identyczne. One są jakby jedną i drugą stroną tej samej rzeczywistości: grzech pociąga za sobą śmierć. To znaczy ruinę życia człowieka, jego egzystencji.

Ta śmierć, o której tu mowa, to nie jest śmierć fizyczna. Dlatego że ten dar nieśmiertelności, o którym mówi teologia, a który wraz z łaską otrzymał Adam i Ewa w raju, nie oznacza, że człowiek będzie żył wiecznie tutaj na ziemi, że nie będzie śmierci fizjologicznej. (Bo inaczej nastąpiłoby przeludnienie ziemi -- ludzie się rodzą, a nikt nie umiera. Gdzie ostatecznie musielibyśmy jechać? Na księżyc? Na gwiazdy?) Śmierć fizjologiczna była tylko przezroczysta. Była wejściem w życie Ojca-Boga. Ale przez bramy śmierci fizjologicznej miał przechodzić, bo inaczej byśmy wszyscy na tej ziemi zostawali.

W tym problemie chodzi o śmierć inną. Nazwijmy ją tutaj umownie śmiercią istoty człowieka, śmiercią ontyczną, ontologiczną, której śmierć fizyczna teraz staje się symbolem. Ona zmieniła ten symbolizm. Dlatego pierwsi chrześcijanie, gdy odzyskali na nowo to, co człowiek utracił w raju, nie nazywali śmierci fizycznej śmiercią, tylko zaśnięciem. Dla nich przestała być tym, czym była dawniej. Stała się inną rzeczywistością. To było zaśnięcie a nie śmierć.

Śmierć jest rzeczywiście skorelowana z grzechem. Grzech pociąga zawsze za sobą śmierć. To znaczy ruinę człowieka. Jest dla niego trucizną, złem, które mu życie utrudnia, które mu życie zatruwa, które prowadzi ostatecznie do śmierci. Człowiek jest stworzony do życia, tymczasem grzech prowadzi do śmierci. Dlatego Pan Bóg dał mu słowo: "Tam się nie zbliżaj, bo tam jest śmierć". Tymczasem diabeł odwrócił kota ogonem. Na to stwierdzenie Ewy powiedział: "Wtedy powiedział wąż do niewiasty: Na pewno nie umrzecie".

Tutaj mamy jakby praźródło przekonania, które dzisiaj w głowach ludzi istnieje, że grzech nie jest czymś złym dla człowieka, że on nie prowadzi do śmierci, do rozkładu ludzkiej egzystencji, do



rozkładu ludzkiego szczęścia. Tylko że grzech sam w sobie jest pozytywny. Sam w sobie jest dobry. Sam w sobie zawiera rzecz pożądaną, miłą, dającą życie, przyjemność, rozwój. Tak ludzie myślą o grzechu. To jest to, co myślą narkomani na temat narkotyków, że on im da wyzwolenie, że on mi da poczucie, iż jestem w raju, że nowe życie się dla mnie zaczyna. Tak ludzie myślą o grzechu. Tylko sęk w tym, że to jest zabronione; jest złe, bo zabronione. I mówi się trudno. Pan Bóg to jest taki jakiś dziwny, ponury. Najpiękniejsze rzeczy akurat mu się nie podobają. Nie wolno nam ich czynić. No, ale jest Bogiem, może robić, co mu się podoba, zakazywać co Mu się podoba. Jego musimy słuchać, bo inaczej pójdziemy do piekła, gdybyśmy przypadkiem ośmielili się Go obrazić.

Tu jest źródło zła: w tej katechezie, którą szatan wsączył w świadomość człowieka i która go głęboko przeniknęła, przeniknęła głęboko tkanki ludzkości. "Na pewno nie umrzecie! Ale Bóg wie, że gdy spożyjecie owoc tego drzewa, otworzą się wam oczy i tak jak Bóg będziecie znali dobro i zło" (Rdz 3,5).

Szatan chce zburzyć Boży ład ludzkiego życia. Nie wprost, ale przez zasianie niepokoju w człowieku, przez wzbudzenie jego ambicji. W tym zdaniu zawarta jest cała złośliwość tej katechezy, jej jad. Mianowicie, w tym zdaniu jest zniekształcony obraz Pana Boga, w złym świetle przedstawione są Jego intencje.

O ile człowiek żył przedtem tym przekonaniem, że Bóg mnie stworzył, stworzył mnie z miłości, ja tą miłością żyłem, o tyle teraz ta katecheza szatana ugodziła w to naturalne, konstytutywne dla życia człowieka poczucie. W tę świadomość, że Bóg mnie stworzył dla miłości, z miłości -- bo mnie kocha. Stworzył mnie, bo jest rzeczą dobrą istnieć w sposób taki, a nie inny. Tak a nie inaczej być od Niego uzależnionym -- jest dla mnie dobrem najlepszym, jest wyrazem miłości Bożej.

Waż natomiast powiedział, że tak nie jest. Tylko to jest wyrazem tego, że Bóg ciebie nienawidzi. On nie chce twojego dobra. "Gdy spożyjecie owoc z tego drzewa, otworzą się wam oczy i tak jak Bóg będziecie znali dobro i zło". Właśnie przekroczenie tego zakazu zaprowadzi was wyżej. Stworzy przed wami nowe horyzonty. Podźwignie was o jeden szczebel wyżej. Staniecie się jak Bóg, będziecie mieli w rękę sekret rzeczy. Będziecie znali dobro i zło. Będziecie mogli decydować, co jest dla was dobre, a co złe. I tego właśnie Bóg nie chce. To przed wami chroni, to wam zagroził. I to ograniczenie jest dowodem, że On was nie kocha.

Tu jest ta bomba atomowa -- zakwestionowanie Bożej miłości. Tu jest przekreślenie tej definicji Boga, którą Pismo Św. na samym końcu podaje. Gdy objawienie już się skończyło i św. Jan kontempluje tę prawdę (co Pismo Św. ma między wierszami), on to napisał wyraźnie w wierszu: "Bóg jest miłością".

Zło zaczęło się od tego, że tę prawdę, pewnik, dogmat, człowiek przekreślił. Bóg ciebie nie kocha. On ciebie nie stworzył z miłości. Nie stworzył ciebie dla dobrych celów. Bóg jest kapryśny, absolutny, tyran, który chce ciebie wyzyskać. Ty jesteś Jego sługą. Żyjesz w niewolniczej zależności od Niego, a to jest przecież niegodne ciebie. Tak mniej więcej można by sparafrazować treść tego powiedzenia: Bóg nie jest miłością.

I co się dzieje teraz z człowiekiem? Następuje uczynek. "Wtedy niewiasta spostrzegła, że drzewo to ma dobre owoce do jedzenia, że jest ono rozkoszą dla oczu i że owoce tego drzewa nadają się do zdobycia wiedzy". Nagle to drzewo, które nie stwarzało żadnych problemów człowiekowi, stało się problematyczne. Nagle ów zakaz "Będziecie jak stworzenia i uznacie to"-- przedtem sam przez się zrozumiały, nie budzący żadnych wątpliwości, nagle stał się problemem. Człowiek się zastanawia. Kto tu mówi prawdę? Czy Bóg, czy szatan? Mam do wyboru jakby dwie prawdy. Ale gdzie jest prawda? Która z tych prawd jest rzeczywiście prawdą?

Zobaczmy jak to zdanie opisuje grzech pod kątem pożądania. Drzewo jest rozkoszą dla oczu, a owoce nadają się do zdobycia wiedzy. Dlatego św. Paweł w Liście do Rzymian powie, że człowiek otrzymał ten zakaz "nie pożądaj". Rzeczywiście, cała tradycja Izraela jak i Pismo Św. jak gdyby w krótkim powiedzeniu "nie pożądaj" streszcza to główne negatywne przykazanie dane człowiekowi. Jest ono wzięte jak gdyby z tej analizy i z refleksji nad opisem raju.

Co dalej dzieje się z człowiekiem? Człowiek po tym momencie refleksji opowiedział się za prawdą szatańską. Bowiem to zerwanie owocu, które później nastąpiło, jest wyznaniem wiary, że nie Bóg

mówi mi prawdę, lecz to tajemnicze zdanie, które usłyszałem skądinąd. To jest prawdą, co usłyszałem w tym nowym zdaniu "Bóg nie jest miłością". Teraz człowiek usiłuje sobie życie stworzyć po swojemu. Wszystko jest jakby zawarte w tym czynie. Zwróćmy uwagę, że jest wyznaniem wiary nie ustami, lecz czynem. Wyznanie wiary, które my robimy czynem, zapada o wiele głębiej niż to, co my ustami wypowiadamy. To nowe wyznanie zapadło głęboko w serce człowieka. Nie Bóg ma rację, lecz szatan i ja, który odtąd za tym poszedłem. "A wtedy otworzyły im się obojgu oczy i poznali, że są nadzy" (Rdz 3,7).

Według Pisma Św. nagość jest czymś haniebnym dla człowieka. Człowiek jak gdyby wyraża się ubraniem, tym co nosi na sobie. W tym wyraża się jego osobowość, jego pełnia. Nagość jest symbolem ogołocenia, obrabowania, utraty czegoś ważnego. Człowiek jest obrabowany, nie wiadomo do kogo należy, utracił nowy wymiar. To chce Pismo Św. powiedzieć przez "poczucie nagości".

I na tym tle staje się dziwniejsza owa nagość, która przedtem nie raziła człowieka. Dlatego Ojcowie syryjscy, np. św. Efrem, mówią, że ta nagość jest symbolem tego, że człowiek był przyobleczony w blaski Boże, on nosił na sobie szatę chwały Bożej, którą teraz utracił.

Od tego momentu zaczyna się nowa sytuacja człowieka. Już nie ta pierwsza, którą Bóg zamierzył. Nie ta, dla której de facto człowiek istnieje, lecz ta, w której obecnie jesteśmy wszyscy zanurzeni. Co się teraz dzieje? Warto to sobie uświadomić, gdyż jest to rzecz bardzo prosta, a tłumacząca wiele rzeczy, które się w świecie dzieją. Zrozumienie tego sprawi, że niczemu nie będziemy się dziwić, ani u siebie, ani u innych.

Człowiek, który jak drzewo rósł w tej glebie miłości Bożej, z tej gleby się wysadził i przestał w niej tkwić korzeniami. Stał się sam dla siebie. Stał się sam dla siebie bogiem. Do tego zmierzał szatan mówiąc: "Będziecie jako bogowie". Tylko że człowiek nie jest Bogiem. Człowiek jest tylko stworzeniem. Tu jest dramat. Tu jest śmierć zadana jakiemuś głębokiemu wymiarowi, z którym Pan Bóg nas stworzył i co nas konstytuowało w naszym człowieczeństwie. To zależność od Boga. To, że ja czuję się kochany przez Boga, że ja czerpię moje życie z tej miłości, moje poczucie pewności. To zabezpieczenie, że życie pójdzie mi dobrze, że nie mam się czego bać, bo jestem w ręku Boga. On mnie kocha i wszystko może, więc czego się będę bał? To człowiek utracił.

Dalej mówi Pismo Św., że człowiek, kiedy zobaczył Boga, zaczął mieć przed Nim lęk. Pan Bóg się dziwi: "Skąd się wziął ten lęk? Kto was katechizował?" Co się stało? Skąd wziął się ten problem? W człowieku zrodził się nowy zafalszowany obraz Boga. Z tego zafalszowanego portretu Boga jest bardzo prosta droga do ateizmu.

Bo zaprzeczyć, że Bóg jest miłością, równa się zaprzeczyć, że Bóg istnieje. Na to wychodzi. Ateizm jest tylko ostatnią logiczną konsekwencją tej drogi, na którą ludzkość tutaj weszła. To nic, że ta droga trwała setki tysięcy lat, ale człowiek musiał dojść do jej końca. To jest logiczna kropka nad "i" na drodze, którą człowiek zapoczątkował w raju, kiedy zaprzeczył, że Bóg jest miłością.

Człowiek długo żył zafalszowanym obrazem Boga, aż doszedł do ateizmu. Bóg wzbudza w nim strach, choć nie powinien, gdyż jest miłością. Dlaczego strach? Elementy tego zafalszowanego portretu są rozmaite.

Ludzie myślą, że Bóg jest sędzią, który stoi z laską i tylko czyha, aż ty zgrzeszysz. I kiedy tylko zgrzeszysz, od razu ci przyłoi. Jeśli się stanie jakieś nieszczęście, ludzie od razu pytają, jaki ja grzech popełniłem, którego być może sobie nie uświadamiam, ale grzech jest i dlatego Bóg mnie karze. Jest to jeden z elementów tego zafalszowanego portretu Boga.

W każdym razie Bóg nie jawi się człowiekowi obecnie jako miłość. Człowiek jest z Niego wykorzeniony. Człowiek przeżył upadek w przepaść. On nie rozumie siebie, bo utracił pierwotny wymiar. Utrata tego wymiaru jest śmiercią, którą grzech zadaje człowiekowi. On nosi w sobie ziarno tej śmierci.

Człowiek jest chodzącym trupem. Dlatego św. Paweł nazywa człowieka umarłym. Jest to jedno z porównań dzisiejszej sytuacji człowieka. On nosi w sobie załazek śmierci. Nie tej fizycznej, która była i dalej będzie. Lecz załazek tej śmierci wynikającej z przekreślenia tego wymiaru, jakim było wkorzenie się w Boga. Tego już we mnie nie ma.

Przedtem człowiek czuł w sobie głos Ducha Św., który mu mówił: " Bóg jest miłością " i wywoływał w nim okrzyk : " Abba - Tatusiu! " Ten okrzyk pochodził od Ducha Św., a nie był wymawiany przez człowieka. I nie był też owocem teoretycznej nauki o Bogu.

Człowiek wtedy posiadał jakby jakiś odbiornik, w którym ustawicznie szła fala od Boga, która mówiła: "Nie bój się, Ja cię kocham. Jestem miłością", i w człowieku wydobywał się okrzyk: "Ojciec - Tatusiu". To prosty zwrot uwielbienia dla Pana Boga. Z chwilą grzechu ten odbiornik się wyłączył. Człowiek tej fali już nie słyszy, zagłuszył jej głos. To jest ta śmierć ontologiczna, którą człowiek w sobie nosi. To jest to, co teraz determinuje całe działanie człowieka.

Człowiek wie, że ma tę tragiczną ciszę. Nie słyszy od nikogo: "Ja ciebie kocham". Czuje się jak w pustce, czuje się w gruncie rzeczy sam.

I pojawia się w człowieku nowa dominanta, nowy pęd. Gonitwa za życiem. Gonitwa za tym, żeby tę śmierć wyrugować z siebie, gdyż człowiek jest stworzony do życia, do pełni, do szczęścia, do nieśmiertelności. A w tej chwili on czuje, że to w nim nie istnieje. To podświadomie jest w nim, on o tym dobrze wie. I to determinuje tę pogoń za życiem, za pełnią. Człowiek, który swoje życie czerpał z Pana Boga, teraz musi sobie szukać zastępczej gleby, skąd będzie czerpał soki życiowe, skąd będzie czerpał życie, skąd będzie czerpał pewność, że ktoś go kocha. I dlatego w tej chwili, jakby mackami ośmiornicy, chwyta się rozmaitych rzeczy stworzonych przez Pana Boga, które miały być tylko kompotem do głównego dania, a w tej chwili stają się głównym daniem dla człowieka.

Te rzeczy można podzielić na dwa nurty, w których człowiek usiłuje znaleźć dla siebie życie:

Pierwszy to pieniądz jako posiadanie oraz praca jako środek prowadzący do pieniędzy, który dalej daje prestiż życiowy.

Drugi to są afekty , czyli wykorzystywanie przyjaźni, małżeństwa, rodziny, dzieci itp. do tego, żeby czerpać życie.

Te wszystkie rzeczy są dobre i są dla człowieka. Te wszystkie rzeczy miały mu dawać szczęście, ale w Bogu. W chwili, gdy Bóg zniknął z horyzontu, nagle te rzeczy są absolutyzowane, ubóstwiane. Stają się głównym i jedynym nurtem, w którym człowiek upatruje swą szansę życia. Usiłuje z tych rzeczy jak z cytryny wycisnąć jak najwięcej życia. Do tych rzeczy, skądinąd dobrych, podchodzi z postawą bałwochwalcy. Z tym, co Pismo Św. nazywa chciwością.

Św. Paweł opisuje człowieka w tej nowej sytuacji bez Chrystusa (wtedy, gdy zaistniał grzech) jako od kolebki do grobu " chciwego ". Chciwego tego, żeby z rzeczy, żeby z pieniędzy, żeby z dóbr, żeby z osób wycisnąć dla siebie maksimum życia. I to św. Augustyn nazwał *invicta cupiditas* -- niezwykłą pożądlivością. Augustyn kontynuuje tradycję biblijną, gdy główny problem człowieka, główny jego grzech widzi w pożądlivości, w przyklejaniu się do tych dóbr materialnych jako do źródła życia, a nie do Boga.

Zafalszowany obraz Boga widoczny jest również w tym, że Bóg mi służy co najwyżej do tego, że ja Go w tej chwili proszę: "Panie Boże, realizuj moje plany. Pomagaj mi w tym życiu, żebym miał zdrowie, żebym miał pieniądze, żebym osiągnął to czy tamto".

Zresztą popatrzmy na treść modlitw, tam gdzie są stałe nowenny np. do Matki Bożej Nieustającej Pomocy spotykamy prośby: o mieszkanie, wygranie sprawy sądowej, dobrego męża, żony. Prawie nikt nie prosi o dar Ducha Św., o odpuszczenie grzechów, o zwycięstwo w pokusach, o dar miłosierdzia. To jest znowu działanie tego zafalszowanego obrazu Boga na moje życie.

Dalej, ów zafalszowany obraz Boga zburzył solidarność między ludźmi. Człowiek, który utracił więź z Bogiem, nagle utracił orientację odnośnie tego, co się wokół niego dzieje. Jeżeli nie ma Pana Boga, jeżeli On mnie nie kocha, to kim jest ten drugi człowiek? Kim jest Ewa? Ona jest zagrożeniem mojej wolności. I to też jest pokazane w dalszym opisie raję.

Pan Bóg jakby zaczyna dochodzenie, co się stało. Kto tu jest winien? Od razu spotyka się z tym, że mężczyzna mówi: "To nie ja zrobiłem, to zrobiła ta niewiasta, którą ty mi dałeś". To jest zwalanie winy również na Pana Boga. "Po coś mi dawał! Gdyby jej nie było, to by się nie stało, co się stało. Ona mi podała, więc zjadłem". Zasada "ratuj się, kto może". Niech drugiego psy pożrą, bylebym ja był cały.

Już została zburzona solidarność, harmonia i jedność między ludźmi. W tej chwili człowiek z tą *invicta cupiditas* podchodzi do drugiego człowieka w sposób nieczysty. Często, z myślą głęboko ukrytą pod pozorem wielkiej uczciwości, głębokiego szacunku dla drugiego człowieka itd, że ty w jakiś sposób będziesz dla mnie drabiną na drodze mojego życia, na drodze mojego szczęścia.

Człowiek zawsze ma w sobie prawo naturalne, jakie mu Bóg zapisał w sercu, a które jest sformułowane w złotej regule: " Nie czynź drugiemu co tobie niemiłe ", czego byś nie chciał od drugiego doznać, albo: "Czynź drugiemu to, co chciałbyś, aby drugi czynił tobie". Człowiek to czuje i wie, że w tym jest życie. Ale w tej chwili jest w sytuacji wewnętrznego rozdarcia. Wiem, że życie jest w miłości. Idę ku temu. Pragnę drugiego kochać. Ale w pewnym momencie dochodzę do miejsca, do progu, w którym widzę zagrożenie. Gdy dalej będę go kochał, to on mnie zrujnuje, zniszczy, to ja będę wykorzystany, będę na tym stratny. Ta sytuacja rodzi walkę wewnętrzną, szamotanie się.

Człowiek pragnie czynić dobrze i nie może. Św. Paweł w rozdz. 7 Listu do Rzymian pisał o tej sytuacji człowieka po upadku. Możemy to tak ująć: Ja wiem co jest dobre, tego pragnę, przyznając rację prawu Bożemu, że pragnę mojego szczęścia. Idę w tym kierunku i natrafiam na mur, którego nie mogę przekroczyć. Tym murem jest śmierć, którą w sobie noszę. Doświadczam, że życie mi już nie przychodzi od Boga. Do życia, do szczęścia są mi potrzebne pieniądze, miłość innych ludzi, prestiż, sukcesy, uznanie. Gdy drugi człowiek, którego chcę kochać, zabiera mi te rzeczy niezbędne do szczęścia, wtedy mówię: Stop! Ja muszę bronić swego życia.

I to ma na myśli autor Listu do Hebrajczyków, gdy mówi w rozdz. 2, że człowiek działa pod wpływem determinanty, a jest nią lęk przed śmiercią. Dlatego jest nam niezbędne dzieło Jezusa Chrystusa. "Ponieważ zaś dzieci uczestniczą we krwi i ciele, dlatego i On (Jezus) także bez żadnej różnicy stał się ich uczestnikiem (naszej natury ludzkiej), aby przez śmierć pokonać tego, który dzierżył władzę nad śmiercią, tj. diabła i uwolnić tych wszystkich, którzy całe życie przez bojaźń śmierci podlegli byli niewoli" (Hbr 2,14-15).

Człowiek jest taki, że głębiny jego wnętrza podlegają niewoli szatana. Od tego momentu, jaki opisuje Ks. Rodzaju zaczęła się sytuacja, którą również św. Jan na końcu swego 1 Listu tak określa: "Cały świat leży w mocy złego". Cały świat jest manewrowany, oszukiwany przez szatana.

To, co obecnie szatan wykorzystuje jako swojego największego sprzymierzeńca w człowieku, dzięki czemu może tę absolutną władzę nad nim wykonywać, jest lęk przed śmiercią. Lęk przed wydarzeniami, osobami, sytuacjami, które mi zabierają to jedyne życie, które mam. Życie, które ja pragnę w tej chwili oprzeć o pieniądze, o ludzkie uznanie, o seks. A wszystko, co mi usiłuje w jakiś sposób życie uszczuplić, uczynić mniej szczęśliwym, co moja wolność kontestuje, to wszystko człowiek odrzuca mówiąc: "Nie, ja tego nie chcę". Tym właśnie szatan manipuluje, wpychając nas w grzech.

Człowiek się broni przed wszystkim, co rabuje mu jego małe życie, małe szczęście. Broni się w rozmaity sposób:

- pogardą wobec innego człowieka, a to jest grzech,
- niechęcią do innego człowieka, a to jest grzech,
- cynizmem, a to jest postawa grzeszna,
- nienawiścią, a to jest jawny grzech,
- chęcią zemsty, a to jest jawny grzech itd.

I to jest sytuacja, z którą się rodzimy, w której żyjemy, a która ujawnia się już w dzieciach. Kiedy małe dziecko rośnie, pierwszą rzeczą którą mówi: "To jest moje" już ma tę świadomość: "To jest moje" (2-3 lata). Albo drugi odruch. Na pytanie: "Kto to zrobił?" odpowiada: "To Kasia zrobiła, to nie ja zrobiłem". Zwała winę na drugiego człowieka. Rośnie sad i zaraz pokazują się pokrzywy, a nie wiadomo, skąd się wzięły.

Gdzieś jest ta katecheza, którą szatan zasiał w człowieku. Ona przechodzi z pokolenia na pokolenie, w środowisko, w to, co naokoło ludzie myślą itd. Wszystko, co się naokoło człowieka dzieje, jest tym fatalnym klimatem, który sprawia, że chwast od razu wschodzi. Taka jest nasza sytuacja. I to powinniśmy sobie dobrze uświadomić, zrozumieć. Pismo Św. w wielu miejscach mówi,

że ona jest mocniejsza niż dobra wola człowieka. Używa tu słów: "Panowanie grzechu nad nami". Ta siła działa w człowieku. Dlatego odtrutką dla niej nie jest moralizm ani prawo. Św. Paweł mówi, że tym antidotum nie może być prawo, gdyż prawo sprawia, iż człowiek jaśniej sobie uświadamia swoją niemoc i niezdolność do kochania.

Gdy zrozumiemy ów stan egzystencjalnej "śmierci", przestajemy się dziwić, że nasi przywódcy, korzystając ze stanowisk, pobudowali sobie wille, nie zastanawiając się, czyją krzywdą i czym kosztem. Człowiek w każdej sytuacji, w jakiej się znajduje, w jakiś sposób ulega złu.

Ta negatywna sytuacja człowieka jest również pokazana w krzyżu Chrystusa. Krzyż Chrystusa ma także funkcję sądenia świata. O tym się rzadko mówi. Ale Pan Bóg przez krzyż chce udowodnić ludzkości, że jest grzeszna, że naprawdę znajduje się w tej sytuacji. Zobaczmy, że krzyż Jezusa zrodził się z zafalszowanego obrazu Boga, który nosimy w naszych głowach.

Nieprawdziwy obraz Boga mieli Izraelici mimo tyłowiekowej historii zbawienia. Fałszywy obraz Boga mieli również przywódcy Izraela w czasach, gdy żył Chrystus. Ten obraz Boga był tak inny od tego, który zobaczyli w Chrystusie, prawdziwym Bogu, że Jezusa (jako człowieka) skazali na śmierć.

Dlatego krzyż Chrystusa jest sądem Boga, który pokazuje ludzkości oddalenie, miarę oddalenia od obrazu prawdziwego Boga, źródła życia. Bóg Ojciec przez przyjście swojego Syna dokonał strasznej próby. Wszedł w sam tłum ludzi i w tym tłumie starał się być prawdziwym Bogiem, tzn. myśleć według swojej logiki, działać według swojej logiki. Mówić to, co jest prawdą. A tylko to jest prawdą, co rzeczywiście w oczach Boga jest prawdą. I to okazało się tak niezgodne z tym, co my na codzień mówimy, myślimy, chcemy, że ludzie powiedzieli: "Ten człowiek nie jest godzien żyć wśród nas".

Prawdziwego Boga, dawcę życia, źródło wszelkiej prawdy, powiesili na krzyżu. Wyrzucili ze swoich szeregów. Dlatego krzyż Jezusa jest dla nas wszystkich obrazem i dowodem, który mówi: zobaczcie, do jakiego stopnia jesteście w błędzie, do jakiego stopnia wszyscy żyjecie w oszustwie, do jakiego stopnia jesteście zaślepieni, do jakiego stopnia grzech was zmienił wewnątrz, że już nawet Boga nie rozpoznajecie i jesteście zdolni do największej zbrodni, jaką jest bogobójstwo.

Dlatego kerygmat apostołski zaczyna się od tego, że św. Piotr stawia przed oczy krzyż Jezusa Chrystusa i mówi: "Mężowie izraelscy, słuchajcie tego, co mówię: Jezusa Nazarejczyka, Męża, którego posłannictwo Bóg potwierdził wam niezwykłymi czynami, cudami i znakami, jakich Bóg przez Niego dokonał wśród was, o czym sami wiecie, tego Męża, który z woli, postanowienia i przewidzenia Bożego został wydany, przybiliście rękami bezbożnych do krzyża i zabiliście" (Dz 2,22-23).

Zauważmy, że to św. Piotr mówi do ludzi, którzy z męką i śmiercią Jezusa nie mieli bezpośredniej styczności. Nie krzyczeli: "Ukrzyżuj Go!". Nie domagali się dla Jezusa kary śmierci. Nie asystowali przy zbrodni. Nie naigrywali się z Chrystusa. I do nich wszystkich mówi: "Zabiliście". Wy mówicie: "nie", a ja mówię, że "zabiliście rękami bezbożnych". Wy jesteście współwinowajcami.

To zdanie jest fundamentalne dlatego, że ludzie zwalają całą winę za śmierć Jezusa na Żydów. Mówią: "Szkoda, że Jezus narodził się wśród narodu żydowskiego. Też sobie wybrał! Mógł sobie wybrać inny naród, a wtedy by Go to nie spotkało".

Tymczasem Pan Bóg tak wyreżyserował, żeby Jezus przyszedł na świat w narodzie, który miał wśród całej ludzkości najwięcej szans, że on Go właśnie przyjmie. Bóg Jezusa skontaktował z warstwą ludzi najbardziej przygotowanych, a więc teologów i prawników, którzy już na tyle studiowali Pismo Św., że rozpoznają Chrystusa, że rozpoznają Jego ukazanie się jako zgodne z całą Biblią. Dlatego jest to zdanie: "Jeżeli to się dzieje na zielonym drzewie", -- jeżeli zielone drzewo -- Izrael tak postępuje z Bogiem, to co się dzieje z Bogiem na suchym drzewie? Nawet ci najbardziej przygotowani do przyjęcia Jezusa nie przyjęli Go.

Okazało się, że ekonomia Starego Testamentu nie wystarczyła do wyzwolenia człowieka z grzechu. Paganie i Żydzi, "wszyscy" -- jak mówi św. Paweł w Liście do Rzymian -- żyją w grzechu. I właśnie krzyż uwydatnia ten grzech.

W naszym kaznodziejstwie często nie docenia się tej powszechności i dramatyzmu grzechu, tego do jakiego stopnia człowiek jest grzechem naznaczony.

Niektóre kierunki pesymistyczne mówią, że człowiek przez grzech stał się zły. Trzeba raczej powiedzieć, że człowiek przez grzech stał się ranny, jak mówi teologia katolicka w odróżnieniu od tych kierunków pesymistycznych, które hołdują pierwszemu stwierdzeniu. Ale ta rana jest głęboka i potwornie duża. Św. Paweł mówi, że człowiek wie, co jest dobre, pragnie tego, ma dobrą wolę, ma również zrywy w kierunku dobra. Tylko w pewnym momencie staje, dalej nie idzie. Kochać bez granic nie potrafi. To jest ta rana grzechu.

Mówię o tym dlatego, że się bagatelizuje ów stan śmierci człowieka, że się ukazuje obraz człowieka w sposób dobroduszny. Mówi się w ten sposób: "Człowiek jest w zasadzie dobry, wszystko potrafi sam rozwiązać itd. Tylko trochę dobrej woli, trochę pracy nad sobą".

W rezultacie i życie i chrześcijaństwo przeżywamy jako niepotrzebną frustrację. Co gorsza, jeżeli tak, jeżeli takie są możliwości człowieka, to do czego ci służy Chrystus? Do czego ci jest potrzebny? Do czego była potrzebna ta cała historia Zbawienia. Bez tej wstępnej analizy nie zrozumiemy, dlaczego pewne rzeczy są potrzebne, dlaczego pewne rzeczy są błędne, dlaczego niektóre rzeczy trzeba skorygować.

Praktyczna uwaga: Jak pomagać ludziom (jest ich bardzo dużo), którzy całe swoje dążenie do doskonałości opierają na tym, żeby dojść do spokoju sumienia, żeby osiągnąć poczucie swojej godności opartej na tym, że owszem, pewne grzeszki popełniam, ale nie popełniam świństw zasadniczych. Tymczasem zdarzyło im się popełnić takie świństwo.

Tak -- dajmy na to -- kobieta, która przerwała ciążę, kobieta skądinąd dobra, chodząca do kościoła itd. Całe życie żołądkowała się, złościła się na takie osoby. Tymczasem przyszła czwarta ciąża, a ona ledwo dyszy i usunęła ciążę. Do końca życia żyje już w tym poczuciu, że próba stworzenia w sobie obrazu człowieka, który pewnych rzeczy nie popełnia, jest na zawsze zniszczona. Ta tendencja jest w każdym z nas.

Każdy z nas ma jakiś idealny obraz samego siebie. Usiłuje do tego obrazu w jakiś sposób dorosnąć. I jeżeli mnie się po drodze pewne grzechy zdarzają, nie byle jakie grzechy, tylko te, które wyjątkowo potępiam, wówczas jestem skazany na wiekiwie frustrację, na poczucie własnej niewierności na wieki wieków. Męcę się z tym. Raz się spowiadałem, drugi raz i spokój nie przyszedł. Człowiek na nowo spowiedź powtarza. Nie wie w końcu co robić. Idzie do Częstochowy z pielgrzymką itd...

Otóż u podstaw tego typu przeżyć jest złe założenie, że mój spokój sumienia, moja radość ma wyrastać z poczucia, że jestem w porządku, że pewnych grzechów nie czynię, że moje sumienie nic mi nie wyrzuca.

Jest taka anegdota z życia św. Franciszka. Otóż św. Franciszek zauważył, że jeden z jego pierwszych braci jest zawsze smutny. Głowił się, ale nie mógł odkryć, jaka jest przyczyna tego smutku. Pewnego razu przechodzili obaj koło czystego, krystalicznego strumienia. Wówczas brat ów powiedział: "Jak bym chciał mieć takie przeźroczyste sumienie jak woda". "No, teraz to ja już wiem, dlaczego jesteś wiecznie smutny", rzekł święty "bo nigdy takiego sumienia mieć nie będziesz".

Na czym polega błąd? Do czego Bóg nas wychowuje? Otóż Bóg prowadzi nas do świadomości, że ty jesteś grzesznikiem, żebyś więc w sobie tej prawdy nie fałszował, nie ukrywał. Tylko twoje dobre samopoczucie płynie z faktu, że takiego ciebie kocha Bóg. Takiemu podaje rękę. Takiego dźwiga i usprawiedliwia. To nie oznacza, że ty sobie możesz pozostać grzesznikiem. Tylko że, Boża miłość leczy człowieka z grzechu.

Szkoda więc, że my kerygmat negatywny (o którym była mowa) głosimy w sposób nieśmiały. Ludzi pocieszamy: "Nie jest tak źle, nie przejmujcie się, człowiek jest w zasadzie dobry, wszystko potrafi o własnych siłach, jeśli tylko chce". Co gorsza, ludzie nie zawsze widzą swój grzech. Bardzo szybko i łatwo tracą poczucie własnej grzeszności. To podcina rozwój wszelkiej indywidualnej duchowości chrześcijańskiej. Sprawia, że dalszy kerygmat jest niepotrzebny.

Z własnego doświadczenia wiem, że tam, gdzie się zaczyna w człowieku proces powolnego i zdrowego dojrzewania chrześcijańskiego, pierwszymi etapami są te, które pokazują człowiekowi jego rzeczywistość, kim on jest. Zdzierają z niego maskę i wzbudzają potrzebę zbawienia. Również i

my powinniśmy w tym kierunku z łaską współpracować i tak ludzi prowadzić. Myślę, że całe nasze wychowanie, które boi się tej drastycznej teologii, również pozwoli nam uchronić się od przesady w tym kierunku.

Jeżeli kobieta przychodzi z faktem przerwania ciąży i ciągle się tym dręczy, to jasne, że trzeba jej powiedzieć, że to jest grzech ciężki. Nie wystarczy pocieszenie, że Bóg jest miłosierny, nie przejmuj się. Tu raczej trzeba powiedzieć, że to jest grzech ciężki, trzeba powiedzieć tak, aby zrozumiała, że miłość Boża pomoże jej na przyszłość tego grzechu nie popełniać.

### ***Dwie funkcje Krzyża Chrystusowego***

Zacznijmy od centrum, aby móc później wyprowadzić wnioski dotyczące naszej praktyki duszpasterskiej. Wtedy będziemy mieć zdrowy, zwarty punkt widzenia i odniesienia, na podstawie którego można by osądzić nasze prace.

Chodzi o to, aby umieć wybierać spośród tego, co życie mi oferuje, spośród różnego rodzaju możliwości przede wszystkim to, co odpowiada mojej misji, w Kościele.

Tym centralnym punktem jest pozytywny kerygmat. Popatrzmy teraz na inną funkcję Chrystusowego krzyża. Rozważmy to, co widzimy w Ewangelii św. Jana, że krzyż jest największym dowodem miłości Pana Boga. Przed grzechem, przed upadkiem człowiek mógł poznać pewne aspekty miłości Boga, ale nie był w stanie zrozumieć Jego najbardziej przepastnej cechy, jaką jest miłość do grzesznika. To dopiero było możliwe wtedy, kiedy pojawił się grzech.

Całe Pismo Św. jest z jednej strony ukazaniem jak grzech coraz bardziej rozkłada, coraz bardziej niszczy kulturę ludzką i całe narody, jak grzech drąży również wewnętrzną tkankę Izraela, pokazuje jak niewystarczająca jest ta prowizoryczna historia zbawienia, którą Bóg w Starym Testamencie prowadził, żeby przygotować grunt na przyjście Jezusa Chrystusa.

Drugi nurt Pisma Św. pokazuje, jak powoli objawia się miłość Boga. Pokazuje to od razu w Protoewangelii, w tym opowiadaniu etiologicznym, które opisuje pierwszy upadek człowieka (opowiadanie etiologiczne -- jest to opowiadanie, które pragnie wydarzeniem z zamierzchłej, niesprawdzalnej przeszłości wytłumaczyć jakiś obecny, rzeczywisty stan rzeczy, jakiś zwyczaj itp.).

Otóż cały opis raju posiada wybitnie charakter etiologiczny, dlatego że pragnie wyjaśnić pewne, stałe i najbardziej fundamentalne dane ludzkiej egzystencji, np. Dlaczego człowiek się żeni? Odpowiedź: bo na początku Pan Bóg ustanowił małżeństwo. Dlaczego człowiek tak jest związany z ziemią, jak to widzimy w doświadczeniu? Dlatego, że Pan Bóg wyprowadził go z ziemi.

Tutaj jest jeszcze w języku hebrajskim świetna gra słów: nazwa i imię człowieka jako takiego brzmi Adam i słowo "adam" oznacza również ziemię. Jest to ten sam źródłosłów; czyli wyraz hebrajski na określenie człowieka znaczy "glebianin", "ziemianin". I tu od razu widać jego wewnętrzny, istotny związek z ziemią. Człowiek jest z ziemi wyjęty i dla niej stworzony. Jego więź z ziemią należy również do konstytucji natury ludzkiej.

Słowem, to opowiadanie wyjaśnia, dlaczego jest tak a tak. Bo na początku było to a to... Etiologia dzieli się na historyczną i niehistoryczną. Historyczna to ta, która podaje jako przyczynę pewne prawdziwe wydarzenia z przeszłości. Niehistoryczna natomiast to ta, która wymyśla jakieś opowiadanie, żeby coś dzisiejszego wyjaśnić.

Również etiologią jest całe to opowiadanie, które ukazuje skąd wzięło się zło, dlaczego w świecie panuje zło. Bo na początku stało się to a to... (W tym przypadku mamy doczynienia z etiologią historyczną, która wyczuła dobrze, co się stało na początku ludzkości).

Dramat człowieka zrodził się stąd, że pierwszą wolną odpowiedzią na misję, którą Bóg pragnął mu powierzyć, był grzech. Zbuntował się przeciw tej misji. Postawił siebie na miejscu Boga, zamiast uznać siebie za stworzenie. Na szczęście Pan Bóg na ów grzech odpowiedział już w protoewangelii, że ludzkości w tym stanie nie pozostawi.

W tym opowiadaniu etiologicznym są rzeczy ważne i mniej ważne, np. dlaczego wąż nie ma nóg, tylko pełza. Ponieważ był tym, który skusił pierwszego człowieka i teraz ponosi konsekwencje swego czynu.

Wśród tych naiwnych, dziecięcych części etiologii, które dla nas dziś są mniej ważne, nagle pojawia się wśród tej słomy ziarno, które mówi rzecz ogromnej wagi teologicznej. Oto teraz Bóg ustanawia period historii, w którym będzie panowało ustawiczne zmaganie się między plemieniem Ewy -- rodzajem ludzkim, a tym światem, który reprezentuje wąż. Ale ostatecznie w tej walce rodzaj ludzki zwycięży. W tym jest obietnica Boga względem człowieka: Ja ciebie nie opuszczę. Ja tej walce się przypatruję. Ja tobie w tej walce gwarantuję ostateczne zwycięstwo.

Dlatego dalsze rozdziały Pisma Św. pokazują, jak Bóg powoli to realizuje. Kain i Abel. Brat zabija brata. Ale zabójstwo to należy zobaczyć na tle prawa, które istniało w Starym Testamencie -- prawa tzw. legalnego ścigania zabójcy przez krewnych zabitego. Nie tylko było to dopuszczalne, lecz wręcz podniesione do rangi obowiązku. Można to tak powiedzieć w skrócie: zabójca nie ma prawa żyć. Tymczasem Bóg daje Kainowi jakiś znak na czole, który sprawia, że Kaina tykać nie wolno, to prawo Kaina nie obowiązuje. Bóg go ułaskawia: ty możesz żyć.

Później przychodzi historia Lameka, w której widać, jak prawo zemsty doszło już do swojego ostatecznego paroksyzmu. Kain się pomścił siedem razy za swoją obelgę, a Lamek siedemdziesiąt siedem razy, już do najwyższej przesady.

Zauważmy, że prawa Starego Testamentu, które w naszym poczuciu są barbarzyńskie, jednakże na tle barbarzyństwa, które panowało wśród ludzkości, są szalonym krokiem naprzód. Np. prawo zemsty (prawo talionu): oko za oko, ząb za ząb wyparło prawo, w imię którego za jedno oko niszczone 7 albo 77 oczu. W Biblii Pan Bóg mówi: jedno oko wystarczy. Jest to powolne wprowadzanie ludzkości do ideału ewangelicznego. Nas to dzisiaj może gorszy, ale wtedy, na tamte czasy był to ogromny postęp.

Dalej historia potopu przedstawia kompletne zniszczenie przez grzech ludzkości skorumpowanej do cna. Przychodzi potop jako zapowiedź sądu eschatologicznego. Jest to typ sądu, który pokazuje, jak w wodach potopu Bóg ratuje jednego człowieka, by z niego wyprowadzić nową ludzkość.

Jest to pierwsza konkretyzacja tej obietnicy z raju, która mówi, że Bóg będzie zawsze ocalał w całej historii ludzkości małą resztę, by z niej stwarzać dalszą ludzkość. Ta zasada reszty będzie się przewijała przez cały ciąg Starego Testamentu.

Wieża Babel i pomieszanie języków. Uwaga! Pomieszenie języków to nie jest kara za grzech, ale jest to dobrodziejstwo Boże, żeby grzech nie urósł do rozmiarów demonicznych. Dlatego Bóg mówi: "wszyscy mają jedną mowę A zatem w przyszłości nic nie będzie dla nich niemożliwe, cokolwiek zamierzą uczynić.". To jest obawa, że człowiek przekroczy granice swojej natury i jego zło przybierze rzeczywiście demoniczny wymiar. Tutaj Pan Bóg dla dobrodziejstwa ludzi miesza im języki (mowę).

Żeby cała ludzkość wróciła do błogosławieństwa, którym się kiedyś człowiek cieszył w raju, Bóg podejmuje całą historię Abrahama (Rdz 12,1-3). Jest to fragment redakcyjny włożony przez redaktora w usta Pana Boga, by wytłumaczyć sens historii, która zaczyna się w 12 rozdziale. "Jahwe rzekł do Abrahama: Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukazę. Uczynię bowiem z ciebie wielki naród, będę ci błogosławił i twoje imię rozślą: staniesz się błogosławieństwem. Będę błogosławił tym, którzy ciebie błogosławić będą, a tym, którzy będą złorzeczyli i Ja będę złorzeczył. Przez ciebie będą otrzymywały błogosławieństwo ludy całej ziemi".

Jak wiemy, cała ta historia jest z myślą o wszystkich narodach, żeby błogosławieństwo, które ludzkość utraciła, powróciło do wszystkich.

Następnie idzie dalsza historia Izraela. Izrael został wyprowadzony z niewoli egipskiej. I przy tej okazji Pismo Św. podaje pierwszą definicję Pana Boga (która jest dla Starego Testamentu tym, czym dla nas jest powiedzenie św. Jana -- Bóg jest miłością). W Księdze Wyjścia czytamy: "Pan przeszedł przed oczami Mojżesza i wołał: Jahwe, Jahwe, Bóg miłościwy, litościwy, cierpliwy, bogaty w łaskę i wierność, zachowujący swą łaskę w tysiączne pokolenia, przebaczący niegodziwość, niewierność, grzech, lecz nie pozostawiający go bez ukarania, ale zsyłający kary za niegodziwość ojców na synów i wnuków aż do trzeciego i czwartego pokolenia" (Wj 34,6-7).

Ta definicja pragnie pokazać tę prawdę, że w Bogu jest serce, które jest bardziej skłonne do przebaczenia niż do karania. Powiedzmy, jest w Bogu jakiś hamulec, który mówi Mu, że skutki



grzechu, tę truciznę, którą człowiek pije, w jakiś sposób trzeba zatrzymać i to możliwie szybko. Natomiast w świadczeniu ludziom -- i to grzesznym ludziom -- dobroci, miłosierdzia i przebaczenia Bóg nie ma granic. Tu zauważmy powolne odsłanianie rysu Bożej miłości, która jest miłością do grzesznika.

W historii Sędziów występuje taki charakterystyczny cykl: Naród Wybrany grzeszy i odstępuje od Boga. Jako skutek spada na niego trucizna zawarta w grzechu. Gdy z nią jest skonfrontowany, gdy ją musi pić, zwraca się do Boga i woła o miłosierdzie, o przebaczenie. Pan Bóg za każdym razem (tych cykli jest wiele) przychodzi, wzbudza jakiegoś zbawiciela, sędziego i wybawia swój naród. Bóg czyni niestrudzenie nowy początek.

Następuje wielkie wydarzenie, wielki kataklizm niewola babilońska. Teraz nawet w Piśmie Św. pojawiają się pytania: Czy to koniec? Czy to znaczy, że historia zbawienia cofnęła się do punktu zerowego? Czy została anulowana? Czy Bóg się nami znużył i odszedł? Tak by się mogło wydawać na podstawie logiki przymierza, na której jest zbudowana Księga Powtórzonego Prawa.

Istnieje Przymierze, układ. Jesteśmy partnerami, mówi Bóg. Ja jestem twoim Bogiem, ty jesteś moim ludem. Ja ci będę świadczył wszystkie dobrodziejstwa (będziesz w tej ziemi wielki), a ty będziesz zachowywał Moje przykazania. Jeżeli tego warunku nie spełnisz, Ja również wycofam się z Moich obietnic. Utracisz swoją ziemię i wrócisz do Egiptu.

I tak się kończy Powtórzone Prawo. To pierwsze jego wydanie. W rozdziale 28, to ostatnie przekleństwo właśnie jest takie: "Wrócisz do Egiptu". Historia zbawienia jest w punkcie zerowym. W czasie niewoli, gdy się to rzeczywiście stało, Izrael zapytuje: "Czy to koniec?" Przychodzą nowi prorocy: Deutero-Izajasz, Ezechiel, którzy mówią: Z tej śmierci, która jest czymś zasłużonym dla Izraela, mimo że Izrael nie ma żadnego tytułu do domagania się jakiegoś nowego początku, Bóg postanowił uczynić nowy początek.

Nie dla jakichś twoich zasług, nie dlatego, żeś o to Boga prosił, tylko dlatego, że Bóg obiecał Abrahamowi prowadzić z tobą tę historię zbawienia na wieki. Dlatego w czasie wyjścia i później u Nehemiasza pojawia się ta sama definicja Pana Boga wyjęta z Ks. Wyjścia, na której jest zbudowany dalszy ciąg historii zbawienia.

Szczytem objawień, w których Bóg objawia siebie, jest ukazanie miłości Jezusa Chrystusa do nas. Wszystko to, co się objawiło w Jezusie. Szczególnie w punkcie kulminacyjnym na krzyżu.

To jest drugi aspekt krzyża: krzyż jako objawienie się Bożej miłości. Dokąd ona doszła? Jak daleko sięga? Z jednej strony jest to wyświechtany komunał, że Pan Bóg kocha grzesznika, z drugiej strony w tym jest zawarta bomba atomowa, w tym jest rewolucja. W tym jest kompletne przewrócenie tego, co my na temat miłości sądzimy, jak miłość praktykujemy. Nie ma na świecie miłości do grzesznika, miłości do wroga.

Grzesznik to z definicji wróg Boga. Zerwał z Bogiem. Pokazał mu plecy. Zabił życie Boże w sobie. Bóg, który w tobie mieszkał, który był motorem wewnętrznym postępowania moralnego człowieka, został wygnany przez grzech. Jest to zniszczenie świątyni Bożej. Św. Paweł mówi o tym, że ten, który znieważa świątynię Boga, czyni coś najgorszego, co się może człowiekowi przytrafić.

U Żydów świątynia była czymś tak świętym, że za jej znieważenie była kara śmierci. Tymczasem w przypadku świątyni znieważonej w człowieku nie ma kary śmierci, tylko jest ulaskawienie. Pan Bóg wraca do grzesznika. Bóg go ściga swoją miłością. Bóg go kocha i akceptuje. I to nie zgadza się z tym, co my na świecie przeżywamy.

Zanalizujmy postępowanie wśród ludzi. Kiedy ja jestem skonfrontowany z moim wrogiem, z tym, który mnie obraził (coś święcie mojego), który mi ciągle udowadnia, że jestem głupi, że jestem nikim, który mnie stale przekreśla w życiu, ja nie mam dla niego miłości bezgranicznej. Takiemu typkowi ja się nie wydam na ukrzyżowanie. Absolutnie nie. Przed takim uciekam, albo bronię się murem nienawiści. Bronię się murem jakiejś odległości, jakiegoś dystansu do niego. Bronię się murem zemsty.

Mówią, że grzesznika należy odpowiednio ukarać i wyłączyć ze społeczeństwa. Na tym rozumowaniu jest zbudowane całe nasze życie społeczne. Na tej zasadzie funkcjonują więzienia itp.

Jest to dla nas czymś zupełnie normalnym. Powinny być więzienia, gdyż inaczej życie społeczne nie będzie funkcjonowało.

My sobie wyobrażamy, że w życiu między człowiekiem a Bogiem jest tak samo. A tymczasem Bóg mówi, że w tej sytuacji On, Bóg ma dla nas Dobrą Nowinę. Dobra Nowina jest ta: " Bóg jest światłością ".

Co to znaczy, że Bóg jest światłością? Mówi o tym pierwszy List św. Jana. Jest on zbudowany na kunsztownej i trudnej do odkrycia dialektyce. Jest to zbudowanie zdań o Panu Bogu na kształt spirali. Cała Biblia powtarza te same rzeczy na coraz wyższej płaszczyźnie. W prologu zaczyna właśnie od tego, aby w swoim pierwszym liście napisać, co to znaczy być światłem. Być światłem to znaczy miłować brata (1J 2,11).

Można to powiedzieć: "Mamy wam do przekazania dobrą wiadomość, że Bóg jest światłem. To znaczy, że Bóg kocha to, co tej miłości nie jest warte, co jest ostatnie, co zasłużyło na odrzuceniu, na co splunąć nie warto". Odpowiedzią Boga na to wszystko jest miłość. I to podkreśla objawienie całego Nowego Testamentu, że w Jezusie Chrystusie objawiła się miłość Boga szukająca grzesznika. Miłość, która jest czymś gorszącym.

Jak gorszącym, pragnie to zilustrować przypowieść o "Synu Marnotrawnym". Ja jej nie tytułuję przypowieścią o Synu Marnotrawnym, tylko przypowieścią o dwóch braciach. Dlatego, że główną postacią w tej przypowieści jest starszy brat. Młodszy brat służy tylko za tło. Jezus pragnie w tej przypowieści rozprawić się z problemem, że miłość Boga do grzesznika jest za mocna, przesadzona. I ludzie sprawiedliwi (reprezentuje ich ten starszy brat), którzy są stale w Kościele, zawsze są w Ludzie Bożym, którym sumienie nie wyrzuca żadnych grzechów ciężkich, gorszą się tym, jak tak można postępować z grzesznikiem. Przecież to go rozwydrzy, to jest niepedagogiczne, to zachęci innych do grzechu. Takie jest tło tego rozumowania.

Dlatego ta przypowieść jest zaadresowana (jest to wyraźnie powiedziane w Ewangelii św. Łukasza (Łk15,13)) do faryzeuszy, którzy się gorszyli, że Jezus je i biesiaduje z celnikami, grzesznikami i prostytutkami. Z tymi prostytutkami, na które wszyscy plują, które są synonimem najbardziej pogardzanego grzechu. No a celnik w tych czasach to był człowiek chciwy na pieniądze, kolaborant, zdrajca własnej ojczyzny i zdrajca własnych świętych ideałów. Dla tych największych grzeszników Jezus przynosi Dobrą Nowinę. I to właśnie grzechy, które były w największej pogardzie, Jezus bierze pod uwagę. Z takimi ludźmi przestaje, żeby pokazać, iż Pan Bóg tych ludzi nie odpędzi ze swojego Królestwa, tylko ich zaprasza do wspólnoty stołu.

To oznaczają wszystkie uczty Jezusa z grzesznikami, gorszące faryzeuszy. Chrystus przedstawia ich jako starszego brata i daje nam tę wspaniałą przypowieść.

Występuje tu typ grzesznika, który wziął majątek, wyszedł z domu i stracił go z nierządnicami (najgorszy grzech według faryzeuszów). Ogołocony ze wszystkiego wraca do domu, gdzie czeka na jego powrót ojciec, który mu nie powiedział: "Ty mi tak, to ja ci tak. Koniec, mój dom dla ciebie jest zamknięty". Tak to sobie wyobrażał starszy brat. "Teraz gdy on wrócił, ojciec może dać mu jeszcze jakąś możliwość. Jeżeli go chce jeszcze przyjąć, to niech będzie ostatnim parobkiem. Niech przebywa z końmi w stajni, niech im tam podaje siano. Ale z powrotem do domu go wpuszczać? Na równi ze mną? Przyodziany w szatę? Do tego tańce, muzyka, wspaniała uczta? Czyś ty zwariował? Kto tak postępuje?" Takie jest rozumowanie starszego brata.

Ta przypowieść zawiera jeszcze wiele innych niuansów. Jej tłem jest jeszcze również sytuacja starszego brata, który siedzi w domu ojca z poczucia obowiązku, który nie wie, że wszystko jest jego. Nie wie, że on w domu ojca jest wolny, jest wolny od niewoli, jaką daje grzech. On nigdy tego nie odkrył. Co więcej, starszy brat ma poczucie, że grzech jest przyjemnością, tylko, niestety, zakazaną. Ten gałgan przekroczył zakaz, obraził ojca. Teraz już nie ma prawa do ojcowskiej miłości, skoro go obraził. Dlatego ojciec daje mu katechezę, że grzech nie jest tym, za co ty go uważasz, za rzecz przyjemną, za wyżycie się. Grzech jest śmiercią. Twój młodszy brat w grzechu był martwy, był chodzącym trupem. Jemu nie było dobrze. On się tam dosyć nacierpiał.

Ojciec wie o tym cierpieniu i dlatego przyjmuje go do swojego domu. Ojciec wie, że grzech nie jest przyjemnością, ale tragedią dla egzystencji człowieka, że grzech człowieka niszczy. Bóg tej tragedii

nie chce, tego zniszczenia nie chce. On pragnie człowieka odbudować. Dlatego tę miłość objawił w rozmaitych swoich słowach. Jezus mówił: "Ja nie przyszedłem do zdrowych (czyli tych, którzy się uważają za zdrowych, sprawiedliwych, i nimi rzeczywiście są), tylko przyszedłem do hołoty, do grzeszników, którzy potrzebują lekarza". I szczyt tego objawienia jest na krzyżu.

Z tajemnicy krzyża rodzą się wymagania dla chrześcijan, skodyfikowane w Kazaniu na Górze: Wy kochajcie w ten sposób, bo jest to miłość taka, jaką kocha Pan Bóg. Inne miłości są ziemskie, dla was możliwe i łatwo dostępne. Jeżeli ty kochasz swojego przyjaciela, to co ty wielkiego czynisz? To wszyscy robią. Jeżeli ty pożyczasz temu, który tobie pożyczył, czyż to jest coś wielkiego? Tak przecież jest w świecie. Ktoś do mnie przychodzi, to mu pożyczę, bo może za miesiąc ja też będę się musiał po coś zwrócić. I wtedy mam drzwi otwarte, bo wiem, że on mi nie odmówi, skoro ja mu dziś nie odmówiłem. To jest coś normalnego. To jest miłość w wymiarze ludzkim.

Jezus mówi: "Czyńcie coś nadto, coś, czego cały świat nie czyni. Kochajcie waszych nieprzyjaciół, bo tak kocha Pan Bóg". I to pokazał na krzyżu. To jest miłość, która ma wymiar krzyża. Ta miłość (jak Jezusa) daje się prowadzić na krzyż przez grzechy innych. I tam na krzyżu daje się zmiążyć, umiera. I to jest zwycięstwem chrześcijanina nad grzechem.

To jest dopiero pełna miłość. Jezus jeszcze tę miłość uzewnętrznia w modlitwie, którą zanosi na krzyżu. Jezus, gdy stoi w obliczu swoich wrogów, którzy Go ukrzyżowali, nie ciska na nich gromów. Mówi: "Ojczy, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią". Widzimy tu usprawiedliwienie grzesznika wobec Boga.

Zwróćmy uwagę na jeszcze jeden moment, który nam ukazuje, do czego posuwa się miłość Jezusa, do jakiego stopnia Bóg kocha grzesznika. Oto Jezus godzi się umrzeć zniesławiony, w szacie grzesznika. Dlatego śmierć Jezusa trzeba rozważać na tle tego, co Stary Testament mówi na temat nieszczęść, jakie wałą się na człowieka.

Cały Stary Testament żył w przekonaniu, że dowodem błogosławieństwa, akceptacji ze strony Boga są rozmaite błogosławieństwa. Dobrze ci się powodzi, masz zdrowe dzieci, dobrą żonę, długo żyjesz, choroby się ciebie nie czepiają, w interesach wszystko się układa, to znaczy, że Bóg cię kocha, akceptuje. Natomiast jeśli chorujesz, masz krótkie życie, gwałtowna śmierć cię spotkała, jest to dowód, że Pan Bóg ciebie nie akceptuje, że twoje postępowanie nie jest dobre.

Takie postawienie sprawy było czymś normalnym aż do II w. przed Chrystusem, gdzie jeszcze nie było objawione, że jest dalszy ciąg życia po śmierci: inny dla dobrych i inny dla złych. Do II w. wierzono, że dobrzy i źli idą do ponurego Szeolu. Dlatego według tej mentalności całe wynagrodzenie za dobre uczynki musi być na tej ziemi wypłacone. Tą właśnie wypłatą było błogosławieństwo Boże w dobrach materialnych, w powodzeniu, w zdrowiu itd.

Na tym tle śmierć Jezusa przedstawiała się jako dezaprobata Pana Boga. Był to moment, w którym ludzie z napięciem czekali, czy się spełni to wołanie, które szło spod krzyża: "Hej, Ty, jeżeli jesteś Synem Bożym, to zejź z krzyża, a uwierzemy Tobie". To nie były drwiny, to było wołanie człowieka, który był zaszokowany tym, co się dzieje. Przecież jesteś tym, który dobrze czynił tylu chorym, tylu cierpiącym. A jednak nasza władza, nasi sędziowie, nasi kapłani skazali Ciebie na śmierć. Kto ma rację? Czy Ty, czy oni?

I teraz tym kryterium dla ludzi jeszcze przyzwyczajonych do tej mentalności miało być interweniowanie Boga. Sądzi, że choćby w ostatniej chwili Pan Bóg powinien Go z krzyża zdjąć, aby pokazać, że Jezus miał rację a nie faryzeusze, że wyrok jest pomyłką. I nic się nie dzieje. Jezus umiera na krzyżu. To musiało być szokiem dla wielu, którzy patrzyli na śmierć Jezusa. A dla faryzeuszy momentem uspokojenia ich sumienia. Pan Bóg nie zainterweniował, ale pozwolił Mu umrzeć. To znaczy, że my mieliśmy rację. To znaczy, że sąd był sprawiedliwy.

Jezus umiera w opinii bluźniercy, który naciągnął lud, który oszukiwał. Aż do tego stopnia posunęła się miłość Jezusa. Wziął na siebie nasz grzech. Wziął na siebie posądzenie, że jest naprawdę oszustem. I przez pewien czas otoczył niesławą swoje imię. Dopiero zmartwychwstanie odwróci bieg rzeczy.

I to właśnie mówi do ludzi św. Piotr w innym kerygmacie: "Bóg naszych ojców, Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba wślawił Sługę swego, Jezusa, wy jednak wydaliście go na śmierć i zaparliście się Go przed Piłatem, gdy postanowił Go uwolnić. Zaparliście się Świętego i Sprawiedliwego, a wyprosiście ułaskawienie dla zabójcy. Zabiliście Dawcę Życia, ale Bóg wskrzesił Go z martwych, czego my jesteśmy świadkami" (Dz 3,13-15).

Tutaj jest skonfrontowany Jezus z Barabaszem. Tutaj są skonfrontowane dwa typy miłości.

Jedna miłość, to miłość Barabasza. On nie był byle jakim zabójcą. Barabasz był partyzantem. Był nawet otoczony honorami, jak u nas partyzant z czasów II wojny światowej. Walczył o wyzwolenie swojego narodu. Ale z bronią w ręku, przemocą i gwałtem. Barabasz należał do stronnictwa Sykariuszy. Taka jest dzisiaj powszechna opinia egzegetów, że to nie był jakiś pospolity zabójca, który w zamieszkach dokonał mordu na jakiejś prorzymskiej osobistości czy rzymskim żołnierzu i teraz czeka na skazanie. Mamy tu z jednej strony uosobienie tej miłości ludzkiej (do pewnych granic), która mówi, że odpowiem gwałtem na gwałt. Nie pozwolę niszczyć tego, co mi się należy.

A z drugiej strony Jezus Chrystus posunął się do tego, że umiera w niesławie oszusta. On swej decyzji nie zmienił tą możliwością, że Bóg przyjdzie i zdejmie go z krzyża. Miłość Jezusa nie odpowiada gwałtem na gwałt, jest miłością taką, jaką nam nakazał w Kazaniu na Górze, jest miłością, która przekreśla swoje święte prawa, która pozwala się ukrzyżować. Skonfrontowana z wrogiem, z nieprzyjacielem ma jedną odpowiedź -- dać się zabić.

Teraz ludzie są powołani do rozstrzygnięcia, do wyboru. Kto ma rację? Czyja postawa jest rozumniejsza -- Jezusa czy Barabasza. I ludzie wybrali Barabasza.

Ta sytuacja w naszym życiu wiele razy się powtarza, kiedy jesteśmy postawieni w konieczności wyboru. Mamy konkretny problem w życiu. I teraz ujawnia się, czy wierzymy, że Jezus i Jego miłość ten problem rozwiąże?

Nie! Bo jeżeli oprę się na tym, co mówi Jezus w Kazaniu na Górze, zginę. Ta miłość nie rozwiązuje żadnych problemów, konfliktów społecznych. Ta miłość jest słabością.

Natomiast to, co reprezentuje Barabasz (karabin, pałka, gwałt, przemoc w walce o słuszne prawa), owszem, to rozwiązuje problemy. I my ustawicznie w życiu wybieramy metodę Barabasza.

Uwidacznia się tym samym to, co mówi ta lektura: "Wydaliście Świętego i Sprawiedliwego Piłatowi na śmierć, a uprosiliście ułaskawienie dla zabójcy". Uważacie, że prawo do życia ma miłość ludzi reprezentowana przez Barabasza. To należy jeszcze dodać do negatywnego kerygmatu.

Teraz przychodzi pozytywny -- właśnie tego Jezusa wskrzesił Bóg. To znaczy, że zmartwychwstaniem Pan Bóg zaaprobował ten sposób miłości. Temu typowi miłości Bóg zagwarantował prawo obywatelstwa w Nowym Królestwie, w Królestwie, które Jezus śmiercią i zmartwychwstaniem przyszedł otworzyć. To jest jedyna wartość, której Pan Bóg zagwarantował nieśmiertelność, przetrwanie. Natomiast wszystko to, co jest skażone naszą miłością, miłością Barabasza, jego logiką, jest plewą, która pójdzie w ogień, która nie ma dla siebie zapewnionego życia wiecznego. Natomiast to, co będzie żyło, co naprawdę jest budulcem cywilizacji, co buduje człowieka, co naprawdę może rozwiązać konflikty społeczne, to jest paradoksalne pójście na śmierć Jezusa Chrystusa, danie się ukrzyżować, oddanie swojego życia.

Jeżeli nie zaakceptujemy postawy Jezusa, to całe nasze życie pójdzie w fałszywym kierunku. Nie będzie to budowanie Królestwa Bożego w duchu Jezusa, tylko budowanie ludzkiej sprawiedliwości według zasad Platona czy Arystotelesa. To musimy sobie jasno określić i mocno uwypuklić, gdyż to jest "nerw" najbardziej istotny dla chrześcijaństwa.

### ***Ratunkiem dla grzesznika -- Krzyż, Zmartwychwstanie i Dar Ducha Świętego (kerygmat pozytywny)***

Jak wygląda kerygmat pozytywny? Oprzemy się na 2 rozdziale Dziejów Apostolskich, na jego analizie i egzegezie.

"Otóż tego Jezusa... przybiliście rękami bezbożnych do krzyża i zabiliście" (Dz 2,22-23). Tu jest zawarta cała, bardzo ważna, ciemna strona kerygmatu, która mówi o tym, że człowiek jest

grzesznikiem. To, że grzech nasz posunął się do tego, że nie rozpoznaliśmy Boga, tylko przybiliśmy Go do krzyża. Nasz grzech jest w gruncie rzeczy zabijaniem życia, skoro zabił dawcę Życia w sobie. W tej sytuacji przychodzi od Boga Dobra Nowina: "Lecz Bóg wskrzesił Go, zerwawszy więzy śmierci, gdyż niemożliwe było, aby ona panowała nad Jezusem" (Dz 2,24).

Dlaczego było niemożliwe, aby śmierć panowała nad Jezusem? Dlaczego śmierć panuje nad nami? Dlaczego człowiek boi się wchodzenia w śmierć, a konkretnie w osoby, w rozmaite wydarzenia, w fakty, które odbierają mu -- jego zdaniem -- życie? Dlatego, że ja nie wierzę, że w śmierci jest Bóg. Ja w to nie wierzę. Tu jest sedno grzechu, który nam opisała Księga Rodzaju, że wejście w krzyż, że wejście w prawo Boże jest moim ograniczeniem, odbiera mi życie. O tym przekonał mnie szatan i to głęboko zapadło w moją świadomość. I dlatego żaden z ludzi nie wchodzi chętnie w śmierć. I dlatego każdy człowiek skonfrontowany ze śmiercią, z krzyżem -- ucieka przed nim. Jest tym samym manipulowany przez szatana, który wykorzystuje lęk przed śmiercią, aby człowieka wprowadzić w grzech, w egoizm.

Jezus jako jedyny wszedł w śmierć, bo wierzył, że tam jest Bóg. Dlatego św. Piotr tutaj cytuje Psalm 16. On pragnie nam powiedzieć, z jaką wiarą, z jakim nastawieniem Jezus szedł na śmierć. "Miałem Pana zawsze przed oczami, gdyż stoi po mojej prawicy, abym się nie zachwiał" (Dz 2,25 i Ps 16,8).

Właśnie Pana nie mamy przed oczami, bośmy przez grzech z nim zerwali. Nie wierzymy w Jego miłość, dlatego chwiejemy się, dlatego grzeszymy, uciekamy przed śmiercią i jesteśmy radykalnymi egoistami. Jezus był jedynym, który tego nie przeżywał.

"Dlatego ucieszyło się moje serce i rozradował się mój język, także i moje ciało spoczywać będzie w nadziei, że nie zostawisz mojej duszy w otchłani, ani nie dasz Świętemu Twemu ulec skażeniu" (Dz 2,26 i Ps 25,9-10). Tym samym św. Piotr tłumaczy, dlaczego śmierć nie mogła nad Nim zapanować.

Jezus był jedynym, który wierzył, że w śmierci jest Bóg. Jego życie było osadzone w Bogu. Nigdy nie był drzewem, które było wyrwane z gleby, jaką jest Bóg. Dlatego Jezus dalej żyje. Jego zmartwychwstanie jest wejściem w nowy, mocniejszy wymiar życia. Jezus wierzył, że tam jest prawdziwe życie, że tam jest jego dalszy ciąg. Dlatego Bóg tej nadziei nie mógł zawieść. Dlatego musiał go wskrzesić.

"Daleś mi poznać drogi życia i napelnisz mnie radością przed obliczem Twoim" (Dz 2,28 i Ps 15,11). To zdanie oznacza: "Ale i Bóg Go wskrzesił, zerwawszy więzy śmierci". Jakie to ma dla nas znaczenie? Jak to się dzieje, że Jezus umarł i został wskrzeszony z martwych dla naszego usprawiedliwienia?

Pamiętajmy o tym, że krzyż sędzi świat. Jezus umiera na krzyżu przywalony naszymi grzechami, zmiażdżony nimi. Nie odpowiedział gwałtem na gwałt. Umarł, utracił życie. Chrystus na krzyżu pokazuje nam czym jest grzech. Na jego ciele jest pokazane, że rzeczywiście grzech niszczy w nas życie. Grzech do Niego przystał. Św. Paweł posuwa się nawet do tego, że mówi: "Jego Bóg na krzyżu uczynił grzechem". W Liście do Galatów mówi: "Bóg uczynił Go przekleństwem" (Gal 3,13). Na Nim realizują się wszystkie prorocтва, które mówią: "Za grzech przyjdzie sąd", "Grzech zniszczy Bóg", " Bóg grzech unicestwi". To unicestwienie widać na zniszczonym ciele Jezusa Chrystusa.

Ale tego Jezusa, na którym jest wyryta nasza nieprawość, nasza przewrotność, Bóg wskrzesił z martwych. Co to znaczy? To znaczy, że grzech jest w Jego zmartwychwstaniu - w zmartwychwstałym ciele -- usunięty, zniszczony. Wydawać by się mogło, że do momentu zmartwychwstania Bóg dokonał sądu nad ludzkością. Sądu potępienia. Udowodnił wszystkim, że są kanałami, bo ich grzech zniszczył ciało Jezusa. Na tym biedaku wszystko się skupiło. On za nas umarł.

Teraz przychodzi zmartwychwstanie. I to oznacza, że Bóg nie uczynił sądu potępienia nad ludzkością, ale sąd miłosierdzia. W Jego zmartwychwstaniu otwiera się nam możliwość nowego życia.

To nowe życie, które Jezus ma po zmartwychwstaniu, jest dla nas. Jest ono po to, żeby na nas się przelewało, żeby nas leczyło z naszego grzechu. I dlatego Apostołowie w innych wersjach kerygmatu (np. w rozdziale 13) mówią, że Pan Bóg w Jego zmartwychwstaniu obwieszcza nam odpuszczenie grzechów.

Uwaga -- ale "odpuszczenie grzechów" nie w sensie jurydycznym, tak jak grzechu nie można pojmować w sensie jurydycznym. Tylko jeżeli grzech jest śmiercią człowieka, tak odpuszczenie grzechów będzie życiem człowieka, będzie wprowadzeniem człowieka w nowe życie.

Dalej mówi św. Piotr, jak to nowe życie do nas przychodzi. Pomijam przykład z Dawidem, który jest tutaj drugorzędny, który pragnie udowodnić realność zmartwychwstania. Dawid widział przyszłość i przepowiedział zmartwychwstanie Mesjasza, że On nie pozostanie w Szeolu, ani ciało Jego nie ulegnie rozkładowi. To jest komentarz do Psalmu 15. Tego właśnie Jezusa wskrzesił Bóg.

"Niech cały dom Izraela wie z niewzruszoną pewnością, że tego Jezusa którego wyście ukrzyżowali, uczynił Bóg i Panem i Mesjaszem" (Dz 2,36). O tym właśnie św. Paweł mówi używając dziwnych terminów na samym wstępie Listu do Rzymian, że Jezus w swoim zmartwychwstaniu został uczyniony Synem Bożym z mocą. Termin "Syn Boży z mocą" nie jest tutaj wzięty w sensie naturalnego synostwa Bożego (druga Osoba Trójcy Św.), bo Jezus był nim zawsze. Nie stał się dopiero Synem Bożym (Bogiem) w momencie zmartwychwstania. Św. Paweł bierze tutaj tytuł "Syn Boży" jako tytuł najbardziej mesjański, tytuł, w którym z największą intensywnością zostaje podkreślona mesjańskość Jezusa. Św. Paweł mówi, że Jezus przez zmartwychwstanie stał się także jako człowiek Synem Bożym, Mesjaszem z mocą.

Czyli Bóg zmartwychwstałemu Jezusowi dał władzę nad sytuacją człowieka, uczynił Go Panem tej sytuacji. Dał Chrystusowi władzę nad tym, co List do Hebrajczyków określił jako sytuację, w której każdy człowiek z powodu lęku przed śmiercią jest w niewoli szatana. Jezus ma władzę nad tą niewolą. Dał Chrystusowi władzę większą niż ma szatan nad rodzajem ludzkim. Jezus ma władzę wyprowadzania rodzaju ludzkiego z niewoli.

Jak Jezus tego dokonuje? O tym mówi to zdanie kerygmatu: "Tego właśnie Jezusa wskrzesił Bóg, a my wszyscy jesteśmy tego świadkami. Wyniesiony na prawicę Boga otrzymał od Ojca obietnicę Ducha Świętego i zesłał Go, jak to sami widzicie i słyszycie" (Dz 2,32-34).

To znaczy, że Jezus stał się, jak to mówi św. Paweł w Liście do Koryntian, "Duchem dającym życie". Stał się Panem, który teraz może zsyłać ludziom swojego Ducha Jahwe i w ten sposób spełnić proroctwo, które wygłosili Ezechiel i Jeremiasz, że nadejdą nowe czasy, kiedy zawrę z tobą, Izraelu, nowe przymierze. Na czym ono będzie polegało? Na tym, że prawo, które było przedtem dla człowieka czymś zewnętrznym, wypiszę w waszych sercach. Sprawię, że będziecie je zachowywać.

Gdy analizuję to miejsce u proroka Jeremiasza (Jer 31,31-34) i porównuję je z proroctwem u Ezechiela (Ez 11,17-21), widzę, że Ezechiel oparł się na starszej (o jakieś 20 lat) tradycji Jeremiasza i zastąpił słowo "prawo" nowym słowem "duch" -- "wyleję na was mojego Ducha".

Tym samym Pan Bóg daje nam nową zasadę życia. Jezus zmartwychwstały udziela ludziom swojego Ducha. On staje się od wewnątrz fundamentem nowego życia, które wyprowadza człowieka z niewoli grzechu. I rozlewa w naszych sercach miłość, którą Jezus na krzyżu objawił, która jest miłością bez granic, która jest miłością do grzesznika.

W przypowieści o Synu Marnotrawnym Jezus chce nauczyć nas tej samej miłości. Pragnie, abyśmy mieli te same uczucia, jakie On, Bóg ma względem grzeszników.

Widzimy, jak teraz kerygmat biblijny rozrywa ciasne ramy tego kerygmatu teologicznego, o którym była mowa poprzednio. Widzimy, że Dobra Nowina nie kończy się na tym, że Jezus spłacił na krzyżu Bogu dług Adama, że wynagrodził mu nieskończenie za nasze grzechy. I teraz proszę bardzo, rodzaju ludzki, droga jest przetarta, niebo jest otwarte, staraj się, aby tam wejść.

Byłoby to pseudozbawienie, skoro rodzaj ludzki dalej żyje jak okaleczona owieczka, która nie może chodzić. Bo żyje dalej w tej sytuacji egzystencjalnej, którą opisuje List do Rzymian w rozdziale 7 i List do Hebrajczyków w rozdziale 2 jako sytuację lęku przed śmiercią.

Na szczęście Dobra Nowina nie kończy się na tych faktach, które można by nazwać zbawieniem obiektywnym, dokonywanym poza człowiekiem. Dobra Nowina idzie dalej i mówi, że potrzebne są dalsze interwencje Pana Boga. Po tym, co Jezus zrobił dla Ojca (męka, śmierć i zmartwychwstanie), jest kolej na to, żeby Jego zmartwychwstanie stało się dla naszego usprawiedliwienia. Żeby Bóg wszedł z potężną interwencją w nasze wnętrza i tym dokonał obrzezania naszego serca. Dokonał tego, co św. Paweł nazywa "nowym stworzeniem", "nowym narodzeniem się z Boga", "nowym

współskrzeszeniem nas z martwych z Jezusem Chrystusem". Żebyśmy otworzyli się na nowe życie, na ten strumień wody oczyszczającej, która wypływa z przebitego boku Chrystusa i która nas wewnętrznie leczy. Sprawia, że owieczka okaleczona nagle zostaje uzdrowiona.

Dzieło Jezusa nie skończyło się na tym, że otworzył nam drogę do nieba i pokazał nam ją. Na tym, że pierwszy nią przebiegł i zostawił nam piękny, wzniosły przykład, a teraz Jezus biedną owieczkę woła: No, proszę bardzo, rusz się! Biedna wstaje, ale ma chorą nogę. Kuśtyka, kuśtyka i nie może. Uszła kawałek i pada, nie da rady. Na szczęście tak nie jest.

Dzieło zbawienia, Ewangelia, idą dalej. Jezus nachyla się nad owieczką, bierze ją na swoje ramiona, leczy jej rany, przez długi czas ją nosi, na razie niczego nie wymagając. Kiedy zobaczy, że noga jest wyleczona, jest zdrowa, stawia owieczkę na ziemi i mówi: teraz już będziesz mogła iść drogą wiary, jesteś uleczona. Najpierw jednak musi nastąpić moment uleczenia.

Jesteśmy w punkcie, który jest niedoceniany w naszym duszpasterstwie, który teoretycznie jest, ale w praktyce bywa przeskakiwany. Ludzie tutaj mają lukę. Wiedzą o tym, co Jezus zrobił na krzyżu (śmierć i zmartwychwstanie), ale na tym koniec.

Wychodzi na to, że mają się starać. Nie !!! Jeszcze coś musi się stać. Ty musisz mieć potężne doświadczenie Boga. Doświadczenie mocy zmartwychwstałego Jezusa, które ciebie wewnętrznie uleczy, odejmie ci ten lęk przed śmiercią, da zwycięstwo nad śmiercią, nad grzechem.

Zwycięstwo, które Jezus odniósł w swoim ciele, sprawi, że ono stanie się twoim zwycięstwem. Ty je sobie przyswoisz. Życie Jezusa zacznie w tobie pulsować czymś nowym -- nowym życiem. I wtedy dopiero jesteś nowym stworzeniem. Wtedy dopiero jesteś chrześcijaninem. Wtedy dopiero możesz iść drogą zbawienia. Tutaj dopiero przychodzi miejsce na ascezę, na pracę nad sobą.

Natomiast my przychodzimy do ludzi, gdy są jeszcze w niemocy, gdy jeszcze niczego nie doświadczyli.

Zresztą to wszystko o czym mówię, może być zwykłym wykładem, może być tylko teorią. A powinno być drogą przepowiadania, kontaktowania się z Duchem dającym życie.

Przepowiadanie kerygmatu ma na celu doświadczenie tego, co pokazuje wspaniała wizja Ezechiela, kiedy to ze świątyni Jahwe wypływa strumień -- najpierw maleńki, później coraz potężniejszy. Strumień kieruje się ku Pustyni Judzkiej. Ku pustyni, gdzie nie ma życia, gdzie jest śmierć. Idzie w większe rejony śmierci, tam, gdzie jest straszne Morze Martwe, które dla wszystkich było symbolem kataklizmu, straszliwej katastrofy i przekleństwa Bożego. Tam, gdzie nie ma żadnego życia, gdzie żadna ryba nie pływa. Strumień tam płynie i przemienia naturę Morza Martwego. Wody stają się słodkie. Zostaną zatoczki dla wydobycia soli (Ez 47, 11).

Ów strumień do ludzi nie dotarł, dalej czują się martwą, nieplodną pustynią, która nie jest zdolna wydawać z siebie żadnych owoców życia wiecznego, nie jest zdolna dawać miłości. Dalej boją się śmierci i umierania. Skonfrontowani z faktami, które ich przekreślają, w dalszym ciągu są manipulowani przez szatana i popełniają grzech za grzechem.

Najpierw musi nastąpić wewnętrzne, radykalne uleczenie, a dopiero na tym tle dalsza duchowość chrześcijańska i dalsze duchowości specjalistyczne, jakimi są duchowość zakonna, kapłańska itp.

Co dalej mówi kerygmat Piotra Apostoła? "My jesteśmy tego świadkami". To znaczy, że kerygmat należy przepowiadać w Kościele z pozycji świadka, z pozycji tego, który to co mówi, tego sam doświadczył (por. 1J 1,1-4). Doświadczył tego, że Jezus jest Panem, że ma władzę i moc. Jego zmartwychwstanie staje się moim udziałem, jest ono wchłonięte przeze mnie.

Zobaczmy, czym jest tu wniebowstąpienie. Wniebowstąpienie jest już wejściem dzieła zbawienia w subiektywną strefę. Zmartwychwstanie i wniebowstąpienie to jest jedność. Do momentu zesłania Ducha Św. zmartwychwstanie (to widać po zachowaniu się Apostołów) jest faktem zewnętrznym, które ich wewnętrznie jeszcze nie zmienia.

Ten etap od zmartwychwstania do wniebowstąpienia jest etapem, bez którego Apostołowie nie byliby przygotowani, aby zesłanie Ducha Św. mogło dokonać tego, czego rzeczywiście dokonało. Ale to jeszcze nie odbiera im lęku, paraliżu przed śmiercią. Jeszcze boją się wychylić poza wiecznik. Boją się cokolwiek powiedzieć. Jeszcze nie mają w głowie tego planu, co właściwie mają ludziom powiedzieć. Jeszcze nie są świadkami.

Dopiero w dniu zesłania Ducha Św. św. Piotr mówi: "My jesteśmy tego świadkami", gdy zmartwychwstanie przez zesłanie Ducha Św. zostało zinterioryzowane, stało się ich faktem wewnętrznym, dało im nowe życie.

Wtedy otwierają drzwi wiecznika, wychodzą bez strachu na światło dzienne i przepowiadają ludziom Ewangelię, nie cofając się przed konsekwencjami, że ich zabiją, że im wymierzą karę. Wyraźnie mówią, że muszą bardziej słuchać Boga niż ludzi. Przed tym faktem nigdy by się nie zdobyli na taką odpowiedź, na taką odwagę. Duch Św. dał im nowe życie. Widzą, że grzech jest przebaczony. Naprawdę Bóg przebaczył im grzech, skoro dał im nowe życie.

"Gdy to usłyszeli, przejęli się do głębi serca: Cóż mamy czynić, bracia? -- zapytali Piotra i pozostałych Apostołów" (Dz 2,37).

Kerygmat powinien być tak przepowiadany ludziom, aby skonfrontowani z Dobrą Nowiną najpierw odkryli siebie w roli grzesznika. Następnie, żeby odkryli, że jest także wyjście. Już mogą wyjść z tego kręgu. Zmartwychwstanie może być moim udziałem, może mi dać nowe życie, może wprowadzić mnie w nowy wymiar życia. Tylko, że to jest jeszcze bardzo ogólne. Ale jest nadzieja.

Ale co ja mam konkretnie czynić? Jak to wszystko może stać się moim wewnętrznym życiem? W jaki sposób ja mogę stać się chrześcijaninem? Na to jest odpowiedź Apostoła: "Nawróćcie się i niech każdy z was ochrzczi się w imię Jezusa Chrystusa na odpuszczenie grzechów waszych, a weźmiecie w darze Ducha Świętego" (Dz 2,38).

"Nawróćcie się" oznacza "wierzcie Ewangelii" (święty Marek ma najlepszy komentarz do tego Mk1,14-15), gdzie Jezus mówi: "Nawróćcie się i wierzcie Ewangelii". To jest najlepszym wyjaśnieniem na czym polega nawrócenie.

Tym pierwszym etapem ze strony człowieka jest wiara. Wiara w co? Wiara, że to, co usłyszeliście w kerygmacie jest prawdą. Ta wiara jest trudna. Trudno człowiekowi naprawdę uznać się grzesznikiem. Uwierzyć, że ja jestem zabójcą Jezusa Chrystusa. Uwierzyć w to, ale uwierz również w to, że Bóg ci przebaczył, że On w zmartwychwstaniu Chrystusa twój grzech zniszczył, że odpuszczenie grzechów może być przez ciebie doświadczone w cudowności nowego życia, gdy otrzymasz Ducha Św. Uwierzyć, że to wszystko jest możliwe. Uwierzyć, że Jezus ma władzę i moc, że On może to z tobą uczynić. Ta wiara zbawia.

Jak Abraham otrzymał niesłuchaną obietnicę, że w swojej starości, w swojej nieplodności, nieporadności będzie miał syna, tak i my otrzymujemy obietnicę nowego życia w tajemnicy zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. A obietnica Boża domaga się bezwzględnej wiary. Dlatego św. Paweł ciągle podkreśla, że "jesteśmy usprawiedliwieni przez wiarę", a nie przez uczynki.

To nie znaczy, że uczynki są niepotrzebne, tylko że uczynki nie są źródłem zbawienia. Poprzez uczynki nikt nie może wyjść z owego kręgu śmierci. Nikt nie może zmienić swojej sytuacji, którą grzech stworzył. Tylko Jezus ma moc nas stamtąd wyprowadzić. I żeby zaczęło się to ze mną dziać, z mojej strony potrzebna jest wiara.

Św. Paweł w Liście do Rzymian zapytuje: "Czy wobec tego prawo przekreślamy?" Odpowiada: "Nie! My je dopiero stawiamy na nogach, my je dopiero potwierdzamy. Prawo dopiero teraz będzie mogło być zachowane przez człowieka, ale najpierw jest uchwycenie się Dobrej Nowiny i doświadczenie, jak wiara powoli zaczyna mnie wprowadzać w kontakt ze zmartwychwstałym Jezusem, jak ten kontakt mnie leczy".

Piotr Apostoł dalej mówi: "Dajcie się ochrzczyć". A zatem sakrament chrztu jest sakramentem wiary. Jak sakrament Eucharystii jest sakramentem miłości, tak sakrament chrztu jest sakramentem wiary. To znaczy, że suponuje wiarę w kerygmacie negatywnym i pozytywnym i jakby ją przypieczętowanie. "I wtedy na odpuszczenie grzechów weźmiecie w darze Ducha Św." -- i wtedy jesteście nowym stworzeniem, i wtedy jesteście chrześcijanami.

Dalej mówi św. Piotr: "Bo dla was jest obietnica i dla dzieci waszych, i dla wszystkich, którzy są daleko, a których powoła Pan Bóg nasz". W wielu też innych słowach dawał świadectwo i napominał: "Ratujcie się spośród tego przewrotnego pokolenia" (Dz 2,39-40). Co to oznacza? Kogo św. Piotr nazywa przewrotnym pokoleniem? Otóż cały rodzaj ludzki w sytuacji grzechu. To jest



wezwanie, bo jest możliwość. Pan Bóg stworzył dla człowieka nową możliwość wyjścia z tej sytuacji, skuteczną możliwość, więc ratujcie się z tego przewrotnego pokolenia.

Do kerygmatu należy również opis życia pierwotnego Kościoła. Opis ten jest bardzo ważny, ale nie wolno go wydzielać. "Ci, którzy przyjęli Jego naukę (Przyjąć Jego naukę znaczy uwierzyć w nią. Przyjąć, że to, co usłyszeliśmy, jest prawdą), zostali ochrzczeni" (Dz 2,41).

Oni to utworzyli pierwszą wspólnotę kościelną. Widzimy, że wspólnota Kościoła jest owocem wiary w zmartwychwstanie Jezusa. Chrystus zmartwychwstały pokazuje swoją moc nad grzechem nie tylko w jednostkowym człowieku, lecz także we wspólnocie Kościoła, która staje się mocą Chrystusa wspólną miłości.

Dalszy ciąg tego opisu pokazuje Kościół jako wspólnotę miłości, czym Kościół żyje, jak do tej wspólnoty miłości dochodzi i jak się w niej utwierdza. "Trwali oni w nauce Apostołów i we wspólnocie, w łamaniu chleba i w modlitwie" (Dz 2,42).

Nauka Apostołów to są ich katechezy. Takie katechezy znamy z listów apostoelskich św. Pawła, z pierwszego listu św. Piotra. Pokazują one, że Jezus jest Panem i Mesjaszem. Dzisiaj my to nazywamy "Życie Słowem Bożym".

Dla pierwszego Kościoła Pismem Św. był Stary Testament. Nowego Testamentu jeszcze nie było. Przez 20 lat Kościół nie miał swojego kanonu Nowego Testamentu. Zanim on będzie uformowany, upłynie prawie cały wiek. Tymczasem już na początku ujawniają się elementy, które muszą być w strukturze wspólnoty chrześcijańskiej: Nauka Apostołów -- czyli Słowo Boże.

"We wspólnocie" -- Kościół musi być wspólnotą. Wspólnotowość, aspekt społeczny wchodzi do jego istoty. Chrześcijaństwo nie posiada duchowości wyłącznie indywidualnej. Nasza więź z Bogiem, ze swojej istoty, jest pionowa i pozioma. To znaczy, łączy nas ze sobą w jedność i w tej jedności można doświadczać zmartwychwstałego Jezusa.

### ***"W łamaniu chleba" -- to jest Eucharystia, czyli sakramenty święte.***

Wreszcie -- "w modlitwie".

Słowo Boże, Eucharystia i wspólnota to są trzy elementy, które muszą być w życiu Kościoła. I modlitwa, jako czwarty element, bez którego dojrzałe życie chrześcijańskie jest całkowicie niemożliwe, bez której nie ma mowy, żeby doświadczyć mocy zmartwychwstałego Chrystusa. Jest to pas transmisyjny, który przynosi nam to wszystko, co Słowo Boże, Eucharystia, co wspólnotowość nam może dać.

Musi być mocna, indywidualna więź z Bogiem, ale musi być również więź, która nas łączy z braćmi. Słowo Boże -- ale we wspólnocie, sakramenty -- ale we wspólnocie. Najbardziej "łamanie chleba" tę wspólnotę podkreśla.

"Łamanie chleba" mówi o wspólnocie stołu, który wymaga wielu biesiadników. "Ci wszyscy, którzy uwierzyli, przebywali razem i wszystko mieli wspólne. Sprzedawali majątki i dobra, i rozdzielali je każdemu według potrzeby" (Dz 2,44-45).

Tu jest pokazane, do jakiego stopnia jedność pierwszych chrześcijan doszła, do jakiego stopnia kerygmat ma moc przekonać człowieka, uczynić jedność z osoby skłóconej z całym światem i ze sobą. Może uczynić nową rodzinę do tego stopnia, że ludzie nie boją się zdjąć swoich masek. To, co dla nich stanowiło do tej pory główne zabezpieczenie (pieniądz, majątek, dobra itd.) dają do wspólnej kasy, czynią z tego dobro wspólne.

"Codziennie trwali jednomyślnie w świątyni, a łamiąc chleb po domach, przyjmowali posiłek z radością i prostotą serca" (Dz 2,46). Dzieje Apostolskie ujawniają główne rysy wewnętrznego życia pierwszych chrześcijan. Prostota i radość.

Oto do czego prowadzi duchowość chrześcijańska. Wyczuwamy, że bazuje ona na pokorze. Bazuje na fakcie, że każdy widzi siebie jako grzesznika. Później przychodzi moment prostoty serca i duchowość uwielbienia. Uwielbienia za to, co Bóg ze mną czyni. Za to, jak Bóg działa w historii. Za to, że nagle świat przestaje być dla mnie światem podzielonym na wydarzenia dobre i złe. Za wszystko chwałę Boga. We wszystkim widzę miłość Boga. Nic się nie dzieje w świecie, w mojej

historii, co nie miałyoby dla mnie dobrego aspektu. "Kochającym Boga wszystko wychodzi na dobre" jak mówi św. Paweł (Rz 8,28).

"Wielbili Boga, a cały lud odnosił się do nich życzliwie. Pan zaś przymnażał im codziennie tych, którzy dostępowali zbawienia" (Dz 2,47). A zatem jest to wspólnota ewangelizująca, wspólnota apostołująca, która głosząc kerygmat (to czego doświadczyła) innym ludziom, jest przeznaczona do tego, by powoli w nią weszła dalsza ludzkość. To są zasadnicze elementy kerygmatu chrześcijańskiego, tego ABC, z którego wypływają rozmaite wnioski.

### ***By uniknąć faryzeizmu...***

Jeszcze raz chciałem wrócić do niektórych ważnych i zapoznawanych punktów kerygmatu. Widzieliśmy już całą perspektywę. Teraz chciałem jeszcze raz, bardziej podkreślić niektóre rzeczy już wspomniane. Zwłaszcza te, które z jednej strony uważam za istotne, z drugiej strony te, które uległy największemu zapomnieniu czy zaciemnieniu. Wskutek tego nasze przepowiadanie, a także całe nasze ukierunkowanie duszpasterskie szwankuje, jest nieskuteczne.

Pierwsza rzecz, to powszechna i głęboko sięgająca grzeszność wszystkich ludzi. Mówiąc "powszechna" występuję przeciwko tym (jest ich bardzo dużo), którzy uważają się za porządnych i wszelkie wołanie do nawrócenia puszczają mimo uszu. Myślą, że prócz paru retuszy do chrześcijańskiej doskonałości niewiele im brakuje.

Tymczasem św. Teresa Wielka, św. Katarzyna Sieneńska, św. Franciszek z Asyżu szczerze mówili, że czują się wielkimi grzesznikami. W monografii na temat św. Teresy spotykam cytaty, gdzie mówi o sobie jak o wielkiej grzesznicy. Dalej był dopisek komentatora, że słów świętej nie należy brać dosłownie.

Takie świadome lub podświadome sądenie, że już mi niewiele brakuje, co wy ode mnie chcecie, może być dowodem zaślepienia, pójścia w kierunku faryzeizmu.

A zatem głęboko sięgającą grzeszność powinni zrozumieć ci, którzy ten problem lekceważą, pomniejszają go. Przeważa w nich jakieś usypianie człowieka z obawy, żeby nie przerazić, żeby nie prowadzić do pesymizmu. W tym celu zebrałem cały szereg cytatów Pisma Św., które na ten temat nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

Pierwsze takie miejsce napotykamy w prehistorii ludzkości, gdzie autor usiłuje przedstawić obraz teologiczny ludzkości przy pomocy materiału historycznego, jaki miał do dyspozycji. Były to legendy, podania, w których jakaś historyczność jest, ale nie o nią tu chodzi.

Chodzi tu o sytuację przed potopem. Fragment tłumaczy, dlaczego przyszła owa kara Boża, czemu przyszło zniszczenie ludzkości. Mówi w ten sposób: "Kiedy zaś Jahwe widział, że wielka jest niegodziwość ludzi na ziemi i że usposobienie ich jest wciąż złe..." (Rdz 6,5).

Tu język polski ma wyrażenie trochę przysłaniające sprawę. Tekst hebrajski jest o wiele bardziej drastyczny. Zamiast "wszelkie usposobienie" mówi: "wszelkie poruszenie myśli i serca". Zamiast "wciąż" mówi "od rana do wieczora". Człowiek jak tylko wstanie, dopóki nie położy się spać, wszelkie poruszenie umysłu i serca, cokolwiek pomyśli, do czegokolwiek dąży, wszystko jest trędowate i złe. Jest to bardzo mocne stwierdzenie.

Izrael był narodem, nad którym Bóg pracował, któremu dawał większe pomoce niż całej reszcie ludzkości (choć tam też wszędzie działał). Naród ten posiadał prawo, przeżył wielkie wydarzenia zbawcze (wyjście z Egiptu), doświadczył, że ilekroć wzywał Jego pomocy, przypominał Bogu Jego wierność przymierzu, Bóg zawsze interweniował. Naród ten miał proroków. Jednak prorocy dziwią się ogromnej oporności Izraela. To się zaczyna już od najstarszych proroków. Najpierw mniej wyraźnie, a później coraz wyraźniej.

Amos przekazuje całą masę wskazań na grzechy społeczne, na faryzeizm w praktykowaniu religijności itd. W rozdziale trzecim wrywa mu się krótkie, dosyć pryncypialne stwierdzenie: "Oni nie umieją postępować uczciwie" (Am 3,10). Nie tylko, że nie postępują uczciwie, lecz jest w nich brak zdolności do uczciwego postępowania.

Jemu współczesny, działający w północnym Izraelu Ozeasz, namacalnie zaczyna odkrywać radykalną niezdolność Izraela do nawrócenia i mówi: " Czyny ich bowiem nie pozwalają wrócić do Boga swego, bo duch nierządu mieszka w ich wnętrzu" (Oz 5,4). W ich wnętrzu mieszka jakiś duch prostytucji, duch odstępowania od prawdziwego Boga: "I nie znają Jahwe". Nie mogą się dobić do tej znajomości Jahwe, która jest znajomością doświadczalną.

Dalej, Izajasz w sławnej scenie swojego powołania na proroka przeżywa moment uświadomienia swojej grzeszności i całego otaczającego go narodu. "Wszak jestem mężem o nieczystych wargach i mieszkam wśród ludu o nieczystych wargach" (Iz 6,5).

W miarę, jak się zbliża do katastrofy wygnania, cała ta rzecz wychodzi na jaw z coraz większą gwałtownością. Staje się coraz częstszym przepowiadaniem proroków. Jeremiasz wypowiada to sławne zdanie: "Czy Etiopczyk może zmienić swoją skórę, a lampart swoje pręgi?" (Jer 13,23).

Przychodzi wielkie sławne dzieło -- Historia Deuteronomistyczna, która zawiera w sobie dzisiejsze księgi: Jozuego, Sędziów, 1 i 2 Samuela oraz 1 i 2 Królewską.

Myślą przewodnią historii Deuteronomistycznej jest wytłumaczenie dlaczego doszło do katastrofy narodowej, dlaczego doszło do niewoli wygnania, którą przeżywa autor. Robi to w ten sposób, że we wstępie umieszcza prawo Deuteronomii, które stanowi dla niego jakby lustro. I według tego prawa ocenia całą historię Izraela.

W tej historii widzi wystarczające usprawiedliwienie tego, co się wydarzyło na jego oczach. Historia Izraela jest właściwie historią jego grzechu, pokazaniem jak grzech w każdej epoce był obecny.

Znamienne jest to, że gdy przedstawia epokę apogeum (panowanie Dawida i Salomona) odważnie opisuje ich grzechy, dalekosiężne skutki grzechu. Opisuje czasy królewskie jako pasmo niewierności prawu przymierza. I dlatego księga kończy się smutnie i pesymistycznie. Kończy się jednym z przekleństw: "Powróćcie do Egiptu". Pójdziecie w rozsypkę. Historia zbawienia wróciła do punktu zerowego.

To dzieło wielbi sprawiedliwość Jahwe. Refrenem jest: "Sprawiedliwy jesteś Jahwe, Panie". Dzieło to w tej formie istniało dosyć krótko. Już drugie wydanie zostało poszerzone o rozdziały Powtórzonego Prawa zawierające akcenty na dalszą przyszłość. Mówią one, że historia zbawienia jeszcze się nie kończy.

Współczesny mu prorok Ezechiel uderza w te same tony. W 15 rozdziale dokonuje szokującego porównania Izraela do krzewu winnego. Izrael był już przed nim porównany do owocu krzewu winnego, który daje wspaniałe wino. Te porównania wslawiły królewskość Izraela, jego piękno, jego wybranie.

A teraz szok polega na tym, że Ezechiel porównuje Izrael do drewna krzewu winnego i zapytuje się, do czego takie drewno służy. To drewno nie służy do niczego. Ono jest tak kruche, że nie można z niego wyciosać nawet kołka, na którym można by coś powiesić. I w dodatku to drzewo jest nadpalone (Ezechiel pisze po pierwszej deportacji, która miała miejsce w 597 r., a więc 12 lat przed definitywną deportacją). Tym bardziej do niczego się nie nadaje. Taki jest Izrael (człowiek), z istoty swej nieużyteczny.

Dalej w sławnym rozdziale 16 opisuje dzieje Izraela w alegorii znalezionego na pustyni dziecka, które uratował Jahwe. Kiedy ono tylko dojrzało, Jahwe je sobie wziął za małżonkę. Ale kiedy weszło w swoją godność (tu aluzja do czasów Dawida i Salomona), zabrało się do prostytucji. Całe czasy królewskie były okresem ustawicznego oddawania się obcym bogom, ustawicznego zdradzania prawowitego małżonka, jakim był Jahwe.

Na samym wstępie tego rozdziału prorok zapytuje: "Skąd się to zło w Izraelu bierze?". Odpowiada, że ono jest jakby mu wrodzone. Mówi: "Z pochodzenia swego jesteś z ziemi Kanaan. Ojciec twój był Amorytą, a matka twoja Chetytką" (Ez 16,3). Ty jesteś pochodzenia kananejskiego. Tu jest odniesienie do 9 rozdziału Księgi Rodzaju, gdzie Kanaan jest przedstawiony jako ten, który odkrył nagość swego ojca, którego ojciec Noe przeklina.

Dlatego Kanaan jest symbolem przekleństwa, dlatego cała ludność kananejska była również uważana przez Izrael za naród, nad którym ciąży szczególne przekleństwo.

Prorok dalej powiada, że korzenie Izraela, korzenie Jerozolimy sięgają zatrutego, przeklętego pnia. Twoje serce, Izraelu, jest tak samo zepsute, jak Kananejczyków.

Okazuje się w świetle nowych badań, że Ezechiel miał rację, gdyż Dawid po zdobyciu Jerozolimy oszczędził całą ludność Jebuzejczyków. Oni szybko nawrócili się na jahwizm, dźwigając na sobie przez długi okres dziedzictwo swojej kananejkiej religii. Do tego stopnia zaistniał związek z ludnością kananejką, że kapłan Dawidowy (dawniej był kapłanem jebuzejkim, pogańskim) został wzięty, aby strzegł Arki i sztucznie został włączony do linii Aarona.

Sławny rozdział 20 już bez alegorii mówi o historii Izraela. Przedstawia Izraela jako naród od samego początku niewierny i dzieli tę historię na cztery etapy.

ETAP I. W Egipcie. Już tam "służyliście obcym bogom". Tam posłał do was Jahwe Mojżesza. Tam was wzywał do nawrócenia. I tam już Jego wołanie było bezskuteczne. Trafiło w próżnię.

ETAP II . "Później byliście na pustyni". Mówi o pierwszym pokoleniu, które wymarło na pustyni. Nie chciało się nawrócić, dlatego wymarło.

ETAP III. Ich synom zacząłem powtarzać to samo: "Słuchajcie mojego głosu". Bezskutecznie, tak samo i oni zgrzeszyli. Ale Ja (mówi Bóg) zawsze przez wzgląd na swoje święte imię, nie przez wzgląd na jakieś wasze zasługi, Ja się wami zajmuję. Pan Bóg swoją historię zbawienia kontynuuje "przez wzgląd na święte swoje imię". Tytuł jest w samym Bogu.

Wcześniej prorok Ozeasz zdefiniował tę świętość jako zdolność przekraczania przez Boga tej przepaści, jaką między nami a Nim wytwarza nasz grzech.

ETAP IV. Później jest passus na temat pokolenia, które żyje w Ziemi Obiecanej. Tutaj stałą naukę Pisma Św. Starego Testamentu możemy zamknąć słowami Ps 14, który mówi: "Mówi głupi w swoim sercu -- nie ma Boga. Oni są zepsuci, ohydne rzeczy popełniają, nikt nie czyni dobrze. Jahwe spogląda z nieba na synów ludzkich, badając czy jest wśród nich rozumny, który szukałby Boga. Wszyscy razem zblądzili, stali się nikkzemni, nie ma takiego, co dobrze czyni, nie ma ani jednego" (Ps 14,13).

Zauważmy, że Stary Testament nie patyczkuje się, nie słodzi sytuacji, absolutnie nie schlebia ludowi. Nie widać tam najmniejszego wahania, gdy chodzi o mówienie prawdy. Kiedy czytam Pismo Św. Starego i Nowego Testamentu odnoszę wrażenie, jak ono jest nielitościwe w odsłanianiu człowiekowi prawdy, w wyprowadzaniu go z iluzji, w zrywaniu tych masek, w jakie się przyodziewamy.

Jest to ważne dlatego, że działanie Boga w człowieku zaczyna się od umiejscowienia nas w prawdzie. To jest najniższe piętro fundamentu, na którym Bóg buduje, na którym Bóg wznosi gmach doskonałości chrześcijańskiej. Pokora, to znaczy prawda, to uświadomienie sobie, kim ja jestem.

W świetle Nowego Testamentu -- kim ty jesteś bez Jezusa Chrystusa? Kim ty jesteś bez tego zbawienia, którego On w tobie chce dokonywać?

Św. Paweł pokazuje to w Liście do Rzymian. Uważa za wskazane poświęcić aż 3 rozdziały na udowodnienie, że cała ludzkość jest grzeszna.

Pierwszy rozdział poświęca poganom, gdzie przedstawia ich grzechy w ciemnych i realistycznych barwach. W drugim rozdziale zabiera się do Żydów. Mówi, że wasza sytuacja, choć posiadacie prawo, nie jest bynajmniej lepsza. Wy także jesteście pogrążeni w grzechu. Wy także popełniacie w ukryciu te same grzechy, które zarzucacie poganom. W trzecim rozdziale daje syntezę całości. W tej syntezie zbiera wszystko i robi mozaikę z rozmaitych tekstów Starego Testamentu.

Przedstawia sytuację całej ludzkości i kończy w ten sposób: "Cóż więc? Czy mamy przewagę? (my, Żydzi). Żadną miarą! Wykazaliśmy bowiem uprzednio, że tak Żydzi, jak i poganie są pod panowaniem grzechu, jak jest napisane: Nie ma sprawiedliwego nawet ani jednego (Ps 14,13) , nie ma rozumnego, nie ma kto by szukał Boga. Wszyscy zбочyli z drogi, zarazem się zepsuli, nie ma takiego, co dobrze czyni, zgoła ani jednego. Grobem otwartym jest ich gardło, językiem swoim knują zdradę (Ps 5,10) , jad żmijowy pod ich wargami (Ps 140,4) , ich usta pełne są przekleństwa i goryczy (Ps 10,7) , ich nogi szybkie do rozlewu krwi (Iz 5,7) , zagląda i nędzą są na ich drogach, droga pokoju jest im nieznana, bojaźni Bożej nie ma przed ich oczyma (Ps 36,2). A wiemy, że wszystko, co

mówi Prawo, mówi do tych, którzy podlegają Prawu. I stąd każde usta muszą zamilknąć i cały świat musi uznać się winnym wobec Boga, jako że z uczynków Prawa żaden człowiek nie może dostąpić usprawiedliwienia w Jego oczach (Ps 143,2). Przez Prawo bowiem jest większa znajomość grzechu" (Rz 3,9-20).

Po tym wstępie św. Paweł zaczyna swój pozytywny wykład, w którym mówi, że prawdziwe usprawiedliwienie przychodzi inaczej. Ono przychodzi dzięki Jezusowi, którego Bóg ustanowił prześlaniem za nasze grzechy, a nie przez uczynki.

W czwartym rozdziale apostoł mówi o wierze na przykładzie Abrahama, na czym ona właściwie polega. W piątym rozdziale zaczyna zajmować się opisem życia chrześcijańskiego. Jeszcze raz wraca do tego problemu w siódmym rozdziale.

Ten 7 rozdział jest dość trudny. Ale myślę, że po tym, cośmy sobie powiedzieli, będzie bardziej zrozumiały.

Przeprowadzimy sobie taką małą egzegezę tego rozdziału od wiersza siódmego poczynając: "Cóż więc powiemy? Czy Prawo jest grzechem? Żadną miarą! Ale jedynie przez Prawo zdobyłem znajomość grzechu. Nie wiedziałbym bowiem, co to jest pożądlivość, gdyby Prawo nie mówiło: nie pożądam".

W tym zdaniu "nie pożądam" jest streszczona cała negatywna część Dekalogu. Poganami nazywają tych, co pożądamy. Tu jest aluzja do opisu zKsięgi Rodzaju, jak w Ewie na widok drzewa po pokusie szatana wzbudziła się pożądlivość, żeby skosztować tego owocu. Tu jest również streszczone przykazanie dane człowiekowi w raju: nie pożądam owoców tego drzewa.

"Z przykazania tego czerpiąc podnieję, grzech wzbudził we mnie wszelkie pożądanie. Bo gdy nie ma prawa, grzech jest w stanie śmierci. Kiedyś i ja prowadziłem życie bez Prawa". Św. Paweł mówiąc "ja" mówi w sensie typologicznym, w imieniu całej ludzkości.

Najpierw będzie mówił o sytuacji w raju. Stąd przejdzie do życia po upadku pierwszego człowieka. Powiedzenie: "prowadziłem życie" nie znaczy egzystowałem, ale żyłem, w sensie przeciwstawienia do śmierci, w którą grzech nas wprowadził. "Bez prawa", bo miałem prawo wewnętrzne. Prawo to było czymś spontanicznym. Nie czułem Prawa jako nacisku z zewnątrz przychodzącego, jako pańszczyzny ciężkiej do wykonania.

"Gdy jednak zjawilo się przykazanie, grzech ożył, ja zaś umarłem". "I przekonałem się, że przykazanie, które miało prowadzić do życia, zawiodło mnie ku śmierci. Albowiem grzech, czerpiąc podnieję z przykazania, uwiódł mnie i przez nie zadał mi śmierć". Tutaj św. Paweł personifikuje grzech. To, co nazywa grzechem, Księga Rodzaju nazywa węzem. Później ten grzech staje się jakąś siłą, która przeszła do wnętrza człowieka i tam trzyma go w niewoli.

Teraz już rozumiemy to -- albowiem grzech czerpie podnieję z przykazania, właśnie wąż wziął podnieję z przykazania. Szatan udowodnił przykazaniem, że Bóg nas nie kocha, że On nam zabrania szerszego rozwoju naszego człowieczeństwa. Uniemożliwia dalszy rozwój, aż ku wyżynom bóstwa. A do tego macie prawo, do tego jesteście predysponowani. "Albowiem grzech, czerpiąc podnieję z przykazania, uwiódł mnie i przez nie zadał mi śmierć". Teraz Paweł opisuje przejawy tej śmierci.

"Wiemy przecież, że Prawo jest duchowe. A ja jestem cielesny, zaprzędany w niewolę grzechu". U św. Pawła termin "cielesny" nie oznacza tylko skłonności do grzechów seksualnych.

Człowiek cielesny to ten, który żyje w sytuacji, o której mówi List do Hebrajczyków; a więc człowiek, który żyje deformowany wewnętrznym strachem przed śmiercią, strachem przed utratą życia, które w tej chwili posiada i wskutek tego lęku popełnia najrozmaitsze grzechy. Nie tylko grzechy seksualne, lecz także grzechy pychy, grzechy szukania swego prestiżu, grzechy absolutyzowania pracy, gniewu, przemocy itd.

Wszystkie te grzechy to człowiek cielesny. To jest człowiek nie dotknięty łaską Jezusa, który żyje pobudzany impulsami pożądlivości. Żeby się móc urządzić na tym świecie i jakoś żyć, idzie on za tym, co mówi jego rozum pozbawiony światła Ducha Św.

"A ja jestem cielesny, zaprzędany w niewolę grzechu. Nie rozumiem bowiem tego, co czynię, bo nie czynię tego, co chcę, ale to, czego nienawidzę -- to właśnie czynię. Jeżeli zaś czynię to, czego nie chcę, to tym samym przyznaję Prawu, że jest dobre. A zatem już nie ja to czynię, ale mieszkający we

mnie grzech. Jestem bowiem świadom, że we mnie, to jest w moim ciele, nie mieszka dobro; bo łatwo mi przychodzi chcieć tego, co dobre, ale wykonać nie".

Św. Paweł bierze za przykład nie jakiegoś złodziejaska, w którym zamarły wyższe uczucia, ale człowieka, który stara się być uczciwym, rozumie Prawo Boże, ma aspiracje do dobrego, chciałby jak najlepiej. O nim św. Paweł mówi: "Łatwo przychodzi mi chcieć tego, co dobre, ale wykonać nie. Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, (do którego mam aspiracje, które chciałbym czynić), ale czynię to zło, którego nie chcę. Jeżeli zaś czynię to, czego nie chcę, już nie ja to czynię, ale grzech, który we mnie mieszka. A zatem stwierdzam w sobie to prawo, że gdy chcę czynić dobro, narzuca mi się zło. Albowiem wewnętrzny człowiek we mnie ma upodobanie zgodne z Prawem Bożym. W członkach zaś moich spostrzegam prawo inne, które toczy walkę z prawem mojego umysłu i podbija mnie w niewolę pod prawo grzechu mieszkającego w moich członkach. Nieszczęsny ja człowiek! Któż mnie wyzwoli z ciała, co wie dzie ku tej śmierci?" (Rz 7,7-25).

Ten wiersz 23 jest również cytowany w Ga 5,17. Ale jest jedna różnica. W Liście do Galatów św. Paweł mówi o sytuacji człowieka zbawionego. Św. Paweł mówi, że ta walka, ów antagonizm pozostaje również w człowieku zbawionym przez Jezusa. To nie jest automat, robot, który bez żadnego sprzeciwu wchodzi w Prawo Boże. Póki tu żyjemy, antagonizm trwa, tylko że mając w sobie Ducha Bożego, mamy już nowy początek życia od Boga. Teraz jesteśmy już z samej definicji zwycięzcami. Przedtem byliśmy jakby z definicji pokonani.

Inna jest sytuacja przed Chrystusem, a inna wtedy, gdy Jezus wejdzie w twoje życie. Uważam, że to jest baza. Widzę to również u ludzi, w których zaczyna się proces rozwoju życia chrześcijańskiego, posuwania się w wierze. Bóg w nich zaczyna tę drogę od przekonania, że to, co mówi Pismo Św. jest prawdą.

Jedną poprawkę musimy wziąć pod uwagę: my zasadniczo zwracamy się ze słowem kerygmatu do ludzi, których mamy w kościele, którzy są ochrzczeni, w których w jakiejś mierze Jezus działa.

Tu może nam się jeszcze zrodzić jeden zarzut. Jak rozumieć to radykalne zdanie Pisma Św., że cała historia Izraela jest jednym pasmem niewierności (nie ma sprawiedliwego ani jednego, wszyscy się sprzeniewierzyli). Czy nie było jakichś porządných ludzi w historii ludzkości? Czy nie było Hioba, który należał do Ludu Wybranego, a samo Pismo Św. kanonizuje go, uważa go za męża sprawiedliwego? Czy nie było w Izraelu świętych? Czy w litanii nie mówimy: św. Mojżeszu, św. Abrahamie, św. Eliaszu itd., którzy przecież byli?

Owszem, byli ludzie święci. Gdy chodzi o Stary Testament nie ma żadnego problemu. Tam był obecny Jezus Chrystus, ale pod osłoną figur i typów biblijnych, i zbawiał człowieka. Reżim zbawienia jest taki sam jak w Nowym Testamencie: "przez wiarę". Dlatego Stary Testament także żąda od człowieka wiary, a nie uczynków prawa. Jak mówi św. Paweł, z uczynków prawa żaden człowiek nie może być zbawiony. I de facto była możliwość zbawienia. Tylko było to trudniejsze niż teraz.

Ale też zbawiał Chrystus a nie własne siły człowieka. Tak samo w innych religiach Chrystus udzielał łaski na mocy przyszłego odkupienia. Jeżeli ktoś z tego skorzystał, mógł być zbawiony, jako że Odkupienie jest dla całej ludzkości, a nie tylko dla Wybranego Narodu.

Zawsze w centrum jest Chrystus. Ludzkie siły są niewystarczające. Zawsze człowiek sam z siebie jest grzeszny. Bez ingerencji zbawczej, o której mówi Stary i Nowy Testament, jest niemożliwe, aby się zbawił.

Pamiętając o tym, że my głosimy Słowo Boże ludziom ochrzczone, zobaczmy, co czyni w małym dziecku chrzest. Gładzi grzech pierwotny i składa ziarno życia Bożego w duszy dziecka. Gdy to ziarno się rozwinie, może zmniejszyć skutki grzechu pierwotnego w człowieku.

W praktyce to tak wygląda, że mamy przed sobą człowieka ochrzczonego, ale w nim to ziarno życia Bożego nie zostało rozwinięte, nie wydaje plonu. Bardzo rzadko spotykamy dojrzałego chrześcijanina. Ogromna większość ludzi deklaruje się, ale rzeczywiście chrześcijanami nie są i z tego nie zdają sobie sprawy. I trzeba im zrobić to dobrodziejstwo, żeby te iluzje i te maski im zedrzedł.

Często słyszy się zarzut: "Nie mówmy o tym, bo ludzi przez to wprowadzimy w pesymizm". Byłby to pesymizm, gdybyśmy ich tak zostawili. Dlatego nie wolno mówić o grzechu, nie mówiąc o nadziei. Tego Pismo Św. nigdy nie czyni (Ez 20).

Jednak prawda jest taka: jesteś grzesznikiem, a żyjesz, bo Bóg się nad tobą ulitował, miał nad tobą miłosierdzie. Bóg ciebie, grzesznika, kocha. Niech ta miłość będzie dla ciebie teraz życiem, światłem, zadowoleniem, radością, poczuciem twojej wartości. Jesteś przez Boga kochany, mimo że sam z siebie nie jesteś tego wart. Na tym właśnie polega świętość Boga, że ona przecina tę przepaść spowodowaną grzechem.

Druga rzecz. Tam był punkt wyjścia. Wychodzę od grzechu i tę świadomość grzechu muszę mieć. Zobaczmy, że Bóg prowadząc człowieka do dojrzałości chrześcijańskiej zaczyna właśnie od tego. Dlatego u wszystkich świętych znajdujemy tę świadomość, że "jestem największym grzesznikiem".

Jaki jest docelowy punkt nawrócenia? Na czym polega doskonałość chrześcijańska, do której nas Bóg prowadzi? Jest to bardzo ważny problem i szczególnie zamglony. Zanim na to sobie odpowiemy, rozważmy jedną ze scen z wieczernika. Scenę umycia nóg Apostołom. Umywa nogi On, Pan i Mistrz, który jako jedyny ma prawo pełne w ten wieczór siedzieć za stołem.

Prawdopodobnie tłem tego gestu Jezusa był szczegół rytuału paschalnego. Wiemy, że było kilka obmyć rąk. Jedno z obmyć wyglądało w ten sposób, że najmłodszy uczestnik Paschy przynosił misę i ręcznik, zaczynając obmycie rąk od najbardziej godnej osoby.

Chrystus z Apostołami spożywał wieczerzę paschalną według starego rytuału. I teraz przychodzi moment obmycia przez najmłodszego, najmniej wartościowego. Nie wiadomo kto tu jest najmłodszym, najmniej wartościowym. Apostołowie oglądają się jeden na drugiego: idź ty, a może ty. A niby dlaczego ja? I w tej sytuacji Jezus wstaje i zaczyna obmywać nie ręce, lecz nogi. Następuje charakterystyczny sprzeciw Piotra: "Panie, Ty mi nie będziesz nóg umywał na wieki".

W tym geście umywania nóg jest zawarty cały program Jezusa. Jest tu wyrażona w plastycznym obrazie Jego miłość, punkt docelowy chrześcijaństwa. To, o co chodzi. To, o co chodziło w życiu Jezusa. To, co On przyszedł objawić ludzkości, że taka jest miłość Boga do nich. Bóg klęka u stóp grzeszników.

Intencją tekstu jest podkreślenie, że na początku 13 rozdziału Ewangelii św. Jana była wzmianka o Judaszu. Jezus u stóp swojego wroga, który za chwilę Go zdradzi. Ta wzmianka o Judaszu na początku rozdziału ma podkreślić, że Judasz jest jeszcze na sali i że Jezus jemu również umył nogi. Jezus u stóp swego zdrajcy.

W tym tekście jest zobrazowane to, co czyni na krzyżu. Da się ukrzyżować za grzechy ludzi. Nie otworzy ust cierpiący Sługa Jahwe. Skonfrontowany z przemocą, nie odepchnie jej. Nie odpowie złem za zło, przemocą na przemoc. Tylko da się przez zło zmiążyć.

To również przejdzie w tę sławną zasadę w Kazaniu na Górze: "Nie opierajcie się złu". To nie znaczy, że nie mamy opierać się złu jako grzechowi. To znaczy -- nie opieraj się niesprawiedliwości, przemocy, złu, jakie na ciebie się zwałą ze strony bliźnich, tylko daj się przez nie zmiążyć.

I to właśnie Jezus pokazuje plastycznie w tym geście klęknienia przed Judaszem, który Go wyda, przed Piotrem, który się Go za chwilę zaprze, i przed pozostałymi Apostołami, którzy pouciekają.

Teraz następuje znamieny dialog. Piotr wzbrania się mówiąc: "Panie, Ty mi nie będziesz nigdy nóg umywał". W tych słowach Piotr boi się zaakceptować taką miłość. Broni się przed jej przyjęciem. Jezus mówi: "Jeżeli nie pozwolisz, żebym umył ci nogi, nie będziesz miał części ze Mną". Jeżeli ty nie zaakceptujesz tej miłości, jeżeli jej nie uznasz za prawdę, jeżeli nie zechcesz taką miłością żyć, nie będziesz miał części ze Mną.

To znaczy, nie masz czego szukać w chrześcijaństwie. Jesteś innego ducha. Jeżeli nie chcesz tego zaakceptować, to uciekaj z chrześcijaństwa.

Jako emblemat punktu docelowego chrześcijaństwa można by postawić figurę Sługi Cierpiącego Jahwe z 53 rozdziału proroka Izajasza. Taką miłością kocha Bóg, miłością która pochyla się nad grzesznikiem, umywa mu nogi i przygarnia go. "Tak i wy czyńcie, jak Ja wam uczyniłem". To jest nie tylko moje, ale i wasze zadanie. Po to jesteście chrześcijanami. To jest serce chrześcijaństwa. I to jest później skodyfikowane w Kazaniu na Górze.

Na ten temat jest ogromna literatura, ogromna ilość hipotez i różnego rodzaju pytań; co to jest za etyka? Kogo ona obowiązuje? To jest etyka nie z tego świata, nie z tej ziemi. To jest nierealne. Istotnie, to jest etyka eschatologiczna, etyka ludzi, w których żyje Jezus Chrystus, którzy tutaj na ziemi są widocznym znakiem, że wkracza już na ten świat eschatologia, że tutaj zdobywa sobie pierwsze przyczółki. I taka jest misja Kościoła, aby być przyczółkiem eschatologii. To mają być ludzie, którzy żyją według takiej etyki.

To jest również etyka, którą żyły pierwsze wspólnoty Kościoła. To słowo było zrealizowane u pierwszych chrześcijan, oni tym żyli. Wiedzieli, że to jest możliwe do wypełnienia i to nam przekazali jako Słowo spełnione w ich życiu. Tego dowód mamy w Didache (pierwszym katechizmie, który powstał między 80 a 100 rokiem).

Cała druga część zajmuje się kodeksem postępowania moralnego. Trzy czwarte tej części to jest Kazanie na Górze, o którym teraz tak mało się mówi. Podobnie słynny list do Diogeneta (powstał w Aleksandrii) cały przepojony jest Kazaniem na Górze.

W tym Kazaniu jest sławne powiedzenie: "Miłujcie nieprzyjaciół waszych i módlcie się za tych, którzy was prześladują". Jest to typ miłości naznaczonej krzyżem, którego emblematem jest Sługa Cierpiący Jahwe. Jest to miłość, która kocha drugiego w jego inności. Nie tylko wtedy, gdy odpowiada moim ideałom, moim gustom, gdy spełnia moją wolę. To jest miłość do człowieka również wtedy, gdy on ciebie niszczy, gdy dezorganizuje twoje życie, gdy tobie się sprzeciwia. Ty masz go kochać. " Jedyne prawo jakie mamy względem ludzi, to kochać " -- mówi św. Paweł w Liście do Galatów.

### ***Zło innych czyni mnie lepszym -- Jezusem Chrystusem (Kazanie na Górze)***

Myślę, że większość naszych trudności rodzi się z tego, że jesteśmy przyzwyczajeni traktować chrześcijaństwo jako prawo. Czyli chcę znowu mieć prawo. Chcę mieć jasno powiedziane, że jeśli jest taka sytuacja, to należy się tak zachować, a jeśli jest inna, to należy się tak zachować.

Nie w tym jest rzecz. Chrześcijaństwo nie jest prawem, lecz ontologią człowieka nowego. To znaczy, jeśli Jezus Chrystus będzie w tobie żył, to będziesz postępował tak, jak jest napisane w Kazaniu na Górze.

To są najbardziej ogólne przykłady, wskazania, że w tym kierunku pójdzie twoje życie i twoje reakcje, reakcje Jezusa żyjącego w tobie. Dlatego np. dzisiaj ludziom, którzy nie mają w sobie rozbudzonego życia Jezusa Chrystusa, którzy traktują chrześcijaństwo jako prawo, którzy nie przeżyli głębokiego nawrócenia -- nie można Kazania na Górze nakładać jako prawa, które mają od dziś zachowywać. Zakasuj rękawy i zacznij zachowywać prawo. Popełniasz wtedy błąd, bo człowiek ten pojmuje je jako bierność, rezygnację, i w gruncie rzeczy posługuje to ludzkiemu wygodnictwu, a nie będzie to tym, o co chodziło Jezusowi.

W miarę jak proces dojrzewania w człowieku Jezusa Chrystusa posuwa się naprzód, Jezus zdobywa nowy grunt, na którym może się rozwijać i działać. Od sytuacji do sytuacji, daje człowiekowi nosa i dzięki temu będzie wiedział jak ma postąpić, aby to wynikało z miłości, a nie nienawiści.

W tym jest cała rzecz. Nie ma jakichś ogólnych zasad, np. że chrześcijanin nie może strajkować. Człowiek ma żyć miłością. Miłość mu powie, jakie jest rozwiązanie.

Wynika z tego jasno, że nie opieranie się złu nie znaczy wcale, że należy je popierać. Nie znaczy to, że nie należy mówić, że to lub owo jest złe. Należy właśnie zdzierać maski. Należy jasno mówić, że tu jest zło, że tu jest błąd. Należy postępować według swego sumienia, jak ono w danej chwili doradza. Wtedy na pewno się nie zbłądzi. Teraz może dam wam pewne przykłady.

W naszych wspólnotach, w których tę część kerygmatu Kazania na Górze stawia się jasno, nigdy nie mówimy ludziom: rób tak czy inaczej lub nie rób tego czy owego. Początkowo ludzie z naszych wspólnot okupowali sale uniwersyteckie na znak sprzeciwu wobec kogoś lub czegoś. Nikt ze wspólnot im nie wyrzucał tego. Dzisiaj zaś w wielu wypadkach ludzie z naszych wspólnot nie biorą



udziału w strajkach. Uważają bowiem, że jest to odpowiadanie gwałtem na gwałt, przemocą na przemoc...

Nie jest to zasada. Np. w Madrycie strajkowali urzędnicy banków. Chodziło oczywiście o podwyżkę pensji. Ktoś ze wspólnoty dostał się do środka i rozpoczął pracę. Strajkujący powiedzieli mu, że chodzi mu o pensję i przypodobanie się dyrektorowi. Usiadł przy biurku. Zadzwoił dyrektor i poprosił go do siebie. Zaczął mu gratulować i dziękować za odważną postawę etc. On mu odpowiedział, że to nie o to mu idzie. Odpowiedział mu, że jako chrześcijanin nie jest ani za kapitalistami, ani za strajkującymi, bo jedni i drudzy uważają, że najważniejszy jest pieniądz, że należy walczyć o niego odwzajemniając się gwałtem za gwałt.

To wszystko są olbrzymie znaki, które mówią o wtargnięciu nowego świata w ludzkie życie. Nie wypływa ono z zasady, że chrześcijanie mają nowe prawo, ale z tego, że chrześcijanie kierują się miłością i miłosierdziem względem wszystkich ludzi.

Cechą Jezusa nie jest gwałcenie wolności człowieka. Dlatego Jezus wysłał Apostołów mówiąc im, aby nie brali trzosa, torby, pieniędzy, sandałów etc. Mówił im, aby szli z gołym Słowem Bożym. Mają mówić ludziom, że bliskie jest Królestwo Boże.

"Nawróćcie się i wierzcie Ewangelii". Dlaczego taka forma? Dlatego, żeby przepowiadanie ukazało się przed człowiekiem w formie skrajnej, szanującej wolność człowieka, aby nie było pod presją np. tego, że ksiądz doktor przyjechał i do ciebie przemawia. Ale żeby człowiek miał swobodę trzaśnięcia drzwiami, rąbnięcia go w pysk, albo żeby się otworzył i przyjął Boga, a nie tytuły i autorytet głoszącego.

### ***Niewidzialny Bóg chce być faktem empirycznym (misja Kościoła)***

Po co istniał Kościół? Dawniej wyrażano misję Kościoła w stwierdzeniu, że Kościół to instytucja zbawienia. Po to go Bóg dał, aby każdy wchodząc do niego w nim się zbawił. Przynależność do Kościoła traktowano dość rygorystycznie. Dążono do tego, żeby Kościół zyskiwał nowych członków, żeby wszyscy wchodzący do Kościoła zbawili się w nim pewniej i skuteczniej: "Poza Kościołem nie ma zbawienia".

Wersja odnowiona mówiła, że jeśli ktoś bez winy o nim nie wie lub do niego nie wchodzi, to ma szansę zbawienia się, byleby miał najlepszą wolę zbawienia się, dobre sumienie etc.

Jaki jest zasadniczy brak takiego pojmowania? Brak ten płynie z faktu, że w takiej sytuacji Kościół swego celu nie spełnia. Dlatego, że jeśli popatrzymy na to od strony statystyki, to widzimy, że chrześcijańską nie stała się nawet 1/3 ludzkości. Nawet sam Kościół jest w sobie podzielony. Na Kościół katolicki zaś przypada 800 mln ludzi, czyli trochę więcej niż połowa tych, co są chrześcijanami.

Jeżeli zaś popatrzymy na samych katolików, to zauważymy fakty, na myśl których w człowieku krew się burzy. Tych chodzących do Kościoła w skali światowej jest 10%, a więc 70 mln. Gdy weźmiemy te 70 mln chodzących do Kościoła i zaczniemy wśród nich szukać dojrzałych chrześcijan, którzy są konsekwentni, dla których Ewangelia jest wszystkim, którzy traktują swe chrześcijaństwo poważnie, to sytuacja okaże się jeszcze tragiczniejsza. Wtedy z tych 10% zostanie nam tylko 1%.

Moglibyśmy tutaj powiedzieć, że jest to dzieło Jezusa Chrystusa, że to On tego dokonał. Tyle zostało z tego, co On zrobił.

Rodzi się pytanie o sens Jego przyjścia, Jego Męki, Zmartwychwstania. Tyle zostało z pracy Kościoła, tylko tyle. Jeśli założy się, że celem Kościoła jest dążenie do tego, aby cała ludzkość, jej jak największa część była katolicka, to wtedy powiemy, że nie udało się Jezusowi Chrystusowi uczynić tego co zamierzał, jest zatem największym bankrutem na świecie.

W to pojęcie Kościoła jako deski ratunku rzuconej na fale tonącego świata (kto się jej nie uchwyci, utonie) wniósł dużo Sobór Watykański II. Nawiązał on do dawnych myśli, które można by streścić w stwierdzeniu: "Kościół jest sakramentem i znakiem zbawienia".

Co to stwierdzenie oznacza? Jak należy rozumieć wypowiedzi Soboru, które porównują Kościół do światła, soli? Albo też te wypowiedzi, które porównują Kościół do zaczynu włożonego w ciasto, czy

też wypowiedzi Konstytucji Soborowej *Lumen gentium*, która stwierdza, że Kościół to światło dla świata.

Zastanówmy się przez chwilę nad tymi porównaniami. Jeśli spróbujemy w ich świetle zrozumieć misję Kościoła, to sytuacja zmienia się trochę na lepsze. Wtedy Jezus Chrystus nie wychodzi na bankruta.

"Wy jesteście światłem... aby widzieli wasze uczynki" (Mt 5,14-16). W tych stwierdzeniach świat jest przedstawiony jako tonący w mrokach. W ciemnościach tych Bóg zapalił orientacyjne światełko, którym jest Kościół. Kościół jest dla świata tym, czym jest latarnia morska dla podróżujących morzem. Według tej koncepcji zawsze będzie część, która jest ciemnością i część, która jest powołana, aby być światłością.

Być światłem dla dobra innych ludzi, dla ich zbawienia, to trochę modyfikuje zdanie: "Idźcie na cały świat...". Nie znaczy to, że wszyscy ludzie mają wejść do Kościoła. Ale wszystkie narody mają zobaczyć światło. Zatem Kościół ma wobec świata funkcję służebną. Ma pokazywać światu drogę i dawać mu nadzieję.

Urywek Ewangelii cytowany powyżej nawiązuje do proroctwa Izajasza "Powstań i świeć..." (Iz 60,1-6). Jest tu pokazana misja Izraela i Kościoła wobec świata.

Kościół jest też solą. Stwierdzenie to suponuje znowu, że istnieją wielkie połacie świata, które potrzebują soli. Jest ktoś na świecie, kto otrzymał od Boga misję, aby posolić te części świata, które potrzebują soli, aby przez to świat był smaczniejszą strawą, aby odzyskał swój smak, tożsamość, bo bez soli świat się rozkłada i psuje. To samo jest z zaczynem. Jest wielkie ciasto zrobione z mąki, w które kładzie się małą szczyptę drożdzy i przez to całe się przemienia.

Jeśli taka jest misja Kościoła, to jego sytuacja nie jest tak tragiczna i dramatyczna. To nic, że jest niewielka liczba chrześcijan praktykujących. Problem jest w tym, żeby to małe światło było mocnym światłem. Żeby ci, których Bóg powołuje do Kościoła, byli mocnym światłem, by nie kopcili. Jeżeli sól jest prawdziwą solą, to wystarczy jej w garnku tylko szczypta.

Wtedy Kościół naprawdę spełnia swoją misję, gdy jego członkowie są wielkiej wiary i autentycznego świadectwa. O takiej misji mówi św. Paweł w liście do Filipian. Napomina chrześcijan, aby byli tym, czym być powinni, tzn. solą, która nie zwietrzała, światłem, które nie kopci.

Co zatem zrobić z adagium: "Poza Kościołem nie ma zbawienia?". Czy z tego, co zostało powiedziane nie wynika, że część ludzi może pozostawać pogańska, że może pozostać w swych religiach, że też się zbawią. To nie prowadzi do relatywizmu, dlatego że Bóg dla całej ludzkości jedyną drogę przewidział w Jezusie Chrystusie.

Kościół jest ciałem Chrystusa i jako ciało Chrystusa jest konieczny dla całej ludzkości, dla jej zbawienia. Nie ma zbawienia bez Jezusa Chrystusa pojętego całościowo, ze swoją Głową i swym Ciałem, ale nie w tym sensie, że wszyscy muszą jurydycznie wejść do Kościoła. To nie leży w Bożych planach. Na to wskazują nam fakty, które są, jakie są.

Jeżeli ktoś wierzy, że Bóg kieruje historią, wtedy widzi, że wszystko jest takie, jakie Bóg zamierzył. Fakt, że Pan Bóg jest absolutnym Panem historii, jest dla nas trochę gorszący, ale nie dla Pisma Św.. Pismo Św. pokazuje, że wszystko, co się dzieje w historii, dobro i zło, jest wkalkulowane w Boży plan zbawienia. Bóg o wszystkim wie.

Myśmy później zrobili rozróżnienie, i słusznie, że pewne rzeczy Bóg chce, a inne dopuszcza. Zrobiliśmy to po to, aby nie przypisywać Bogu zła. Rozróżnienie to jest dobre i konieczne. A zatem można powiedzieć, że II wojna światowa jest też dopuszczona przez Boga. Bóg jednak nie jest zegarmistrzem, który skonstruował mechanizm świata, a ten mechanizm ciągle mu się psuje i musi go na nowo reperować. Co naprawi, to znowu mu się popsuje. Fakty pewne są nam dane i musimy pamiętać, że nic się nie dzieje bez Jego woli i wiedzy.

To wszystko jest na pierwszy rzut oka szokujące, ale później staje się to uspokajające -- nie bój się niczego, włos ci z głowy nie spadnie, Bóg wie o wszystkim, cokolwiek się dzieje, nic istotnego nie zmieni się dla ciebie. Wszystko zaczyna się relatywizować i przestaje być skałą, o którą się człowiek rozbija.

Zatem w 2000 roku Bóg uczynił taką a nie inną sytuację, że nie cały świat jest w Kościele. Trzeba zatem pojąć soborowe określenie Kościoła jako sakramentu zbawienia, jako latarni, która ma ludzkości świecić, ma być punktem orientacyjnym, drogowskazem, punktem, z którego wychodzi nadzieja dla świata.

Jak to się ma do adagium: "Poza Kościołem nie ma zbawienia?". Otóż wyobraźmy sobie, że ten stół jest obsypany opiłkami żelaza -- jest to ludzkość rozbita przez grzech, cierpiąca w grzechu. Bóg na tę bezwładną masę opiłek położył magnes, którym jest Jezus Chrystus, z tworzącym z Nim jedność ontologiczną Kościołem. Łaska Boża wśród ludzi zawsze działa w tym kierunku, w kierunku tego centrum. Kościół został dany, aby te wszystkie opiłki zjednoczyły się wokół centrum. Nikt nie może powiedzieć, że wolą Bożą jest, aby on wystąpił z Kościoła.

Jawi się tu problem. Opiłki poruszane Bożą łaską kierują się ku temu centrum. Jedne robią w kierunku tego centrum jeden krok, a inne więcej. W tych ludziach coś się zaczęło, coś dostrzegli, zauważyli jakieś światło. Kościół w stosunku do tych ludzi spełnił już swoją misję. To jest to, o czym mówi rozszerzone adagium, że także ci, co są poza Kościołem, co należą do niego ex voto, którzy do tego centrum nie dojdą, że też są zbawieni dzięki Kościołowi.

Ci jednak, którzy dojdą do tego centrum, mają tu swą misję, aby być światłem dla innych, a nie tylko dla zbawienia swej duszy -- należą do Kościoła.

Ludzie często rozumieją Kościół jako fabryczkę dla zbawienia duszyczek. Nie o to tu chodzi. Człowiek się zbawi, jeśli spełni misję, jaką mu Bóg powierzył. Oczywiście, że Kościół jest dla zbawienia i ma z nim związek. Jeśli jednak człowiek otrzymał od Boga łaskę chrześcijaństwa, to nie może być chrześcijaninem tylko dla siebie. Jest nim po to, aby spełnić wobec świata misję bycia światłem, solą dla uratowania świata.

Mamy tu następny problem. Dzięki czemu Kościół staje się światłem czy solą dla świata? Zagadnienie to łączy się z tym, o czym była mowa poprzednio.

Otóż Kościół staje się dla innych światłem, gdy zaczyna świecić tym samym blaskiem, jakim świecił Jezus Chrystus, gdy zaczyna objawiać światu miłość Boga. Zatem Kościół jest tym znakiem, gdy staje się znakiem jedności i miłości, która pochodzi od Boga i złączyła tych ludzi w jedność doskonałą. Czyli Kościół musi mieć wewnątrz siebie substancję chrześcijańską, tzn. musi ją mieć w sercach swych członków, możliwie wszystkich.

Zbawieniem każdego człowieka jest sam Bóg. Człowiek znajdzie swe szczęście tylko wtedy, gdy odnajdzie Boga, gdy w Nim osadzi swe życie. Ale przecież Bóg jest niewidzialny. Ludzkość szuka Go po omacku i z trudem znajduje. Dlatego Bóg wyszedł naprzeciw człowiekowi i objawił się, uczynił się widzialnym w Jezusie Chrystusie. Jezus przyszedł nam pokazać prawdziwą twarz Ojca, Jego naturę, która jest miłością do grzesznika, do wroga. Nie jest to byle jaka miłość, ale miłość prawdziwa, która się dała rozpiąć na krzyżu i na krzyżu zajaśniała swym blaskiem.

Jezus jednak odszedł. Jak zatem dzisiejszy człowiek ma zobaczyć twarz Boga? W jaki sposób ma dojść do całej ludzkości objawienie się miłości Boga?

Teraz można zobaczyć tu sens Kościoła. To właśnie on ma być dla całego świata sakramentem, znakiem, miejscem Bożej obecności. W świecie miłość istnieje szczątkowo, w małych porcjach -- w Kościele jest jakby skondensowana. Kościół ma być przyczółkiem Boga na tej ziemi, miejscem, w którym widać, że Bóg istnieje, działa, że zbawia życie ludzkie, że czyni je szczęśliwym.

To jest cel Kościoła, przez to jest on światłem i solą dla świata. Ale dziecko czy młodzież, które nas słuchają w życiu codziennym, są katechizowane przez rodziców za pomocą różnych faktów, które nie zgadzają się z tym, o czym od nas słyszały. Od rana do nocy widzą bowiem np. że dla rodziców najważniejszą sprawą jest pieniądz, a przecież myśmy mówili im coś innego. Widzą, że rodzice nie chodzą do Kościoła, a myśmy im mówili, że należy chodzić. My mówimy, że należy kochać innych, a oni widzą, że rodzice nikomu nie darują.

Te wszystkie fakty zadają kłam temu, co ksiądz mówi im na katechezie. To są pewne formy katechizowania faktami świata. Ludzie idą do biura i widzą, że życie jest zupełnie inne, niż mówi się

o tym w Kościele. Każdy myśli o sobie, każdy myśli o swym fotelu, człowiek człowiekowi staje się wilkiem. Ta katecheza mówi ludziom, że nie ma prawdziwej miłości, a ludzkość to piekło.

Kościół znajduje się w straszliwej sytuacji, jeśli na tę katechezę świata, katechezę faktów, posiada tylko katechezę słów. Jest przez to z góry skazany na niepowodzenie. Kościół musi pokazać inne fakty, które zadają kłam poprzednim. Katecheza ta musi ludziom mówić, że prawdziwa miłość istnieje, że Bóg ma moc w życiu człowieka coś zmienić, ma moc wyrwać człowieka z egoizmu, ma moc scalić ludzi rozbitych.

Dzięki tym faktom, tej substancji, dzięki obecności tych zbawczych wydarzeń w ludzkim życiu Kościół staje się zbawczym światłem dla świata. Problem jest w tym, żeby to światło, choćby małe, było naprawdę światłem, a nie błędnym ognikiem, który zaraz zniknie. Chodzi o to, aby sól była solą, a nie tylko solą zwietrzałą.

Na tym tle, tle "substancji chrześcijańskiej" w naszym życiu, chciałem wstawić zdarzenie, które będzie odskocznią do mówienia o tym, że misją Kościoła jest ewangelizacja. Otóż św. Piotr mówi w swym liście, aby być najpierw chrześcijaninem, a potem, gdy nas zapytają o rację nadziei, to wtedy im powiedzcie o mocy Jezusa Chrystusa Zmartwychwstałego.

Często się słyszy, że podstawową misją Kościoła jest przepowiadanie Ewangelii. I to jest prawda. Św. Paweł mówi: "Biada mi, jeśli nie będę głosił Ewangelii".

To samo powinien powiedzieć o sobie Kościół. Dlaczego biada? Dlatego, że taki jest Boży plan zbawienia. "Ludzkość leży w mocy złego" (1J 5,19) i cierpi. Bóg nie patrzy obojętnie na to cierpienie, ale zsyła Swego Syna. To On umiera, zmartwychwstaje, zsyła Ducha Św., który daje nowe życie Kościołowi. Kościół tego doświadcza.

Pierwsza wspólnota jerozolimska, która powstała w dzień Zielonych Świąt, jest jakby pokazowym dowodem ze strony Boga, że Duch Św. zmienia życie człowieka, że coś się w ludziach zmienia. Bóg rzeczywiście ratuje życie ludzkie z tragicznych sytuacji i wprowadza nowy wymiar istnienia, gdzie panuje pokój wewnętrzny, pogoda ducha, szczęście, gdzie człowiek zyskuje poczucie pełni i przekonuje się, że jego życie ma sens. Z woli Bożej to ma dojść do całej ludzkości, a jedyną drogą jest ewangelizacja.

Innymi słowy, całe dzieło zbawcze Jezusa Chrystusa ma być przyjęte przez innych ludzi dzięki przepowiadaniu Ewangelii, głoszeniu kerygmatu. Przeglądając pod tym aspektem Pismo Św. widzimy, że ewangelizacja to nie dawanie konferencji, podawanie czegoś do wiadomości. Jest to jakies podawanie wiadomości, ale bardzo skuteczne, bo w głoszonym słowie jest obecny Jezus Chrystus.

On powiedział, że jest z nami aż do skończenia świata. Jest On także obecny z uczniami głoszącymi Ewangelię. Jakby chciał przez to powiedzieć, że jest obecny w tym słowie i przez to, ono ma moc zbawczą. Cała ludzkość i całe stworzenie ma się dowiedzieć, o szansie, jaką Bóg ofiarowuje.

Grzech wtrącił nas w sytuację bez nadziei, rozkładu wewnętrznego, a na końcu tej wędrówki czeka jeszcze wieczne potępienie. Bóg jednak przychodzi i mówi, że jest z tej sytuacji wyjście, wyjście w Jego Synu, w Jezusie Chrystusie. Jest ono darmowe, jest wielkim darem.

Chrześcijaństwo jest Dobrą Nowiną dla różnych rozbitek życiowych, dla ludzi wykołowanych psychicznie, rozbitych, pogrążonych w swych namiętnościach. Chrześcijaństwo jest dla nich wszystkich Dobrą Nowiną, bo niczego w zamian nie żąda.

Głóście to wszelkiemu stworzeniu, mówi Ewangelia Marka, kto w to słowo wierzy, ten będzie zbawiony, kto nie uwierzy, będzie potępiony.

Abstrahujemy na razie od faktu, czy będzie potępienie wieczne, czy nie. Pierwsze znaczenie tego tekstu jest następujące: jeżeli nasze życie wskutek grzechu jest tragiczne, jeżeli cierpimy, to sobie często sprawy nie zdajemy, że to jest nasz grzech. Kto cierpi, gdy uwierzy, ten wyjdzie z tego cierpienia, ten wyjdzie z tego przedśionka piekła, jakim uczynił swoje życie już tutaj. Kto nie uwierzy, zostanie w swoim świątku, zostanie w tej sytuacji, w jakiej jest.

Kościół ma misję ewangelizacji i teraz te dwa punkty się schodzą. Nie tylko dlatego, że taki jest nakaz Jezusa Chrystusa, ale również dlatego, że Kościół posiada w sobie "substancję chrześcijańską", jest światłem.

Człowiek doświadczywszy na swojej skórze, że to słowo jest skuteczne, że teraz żyje w innym świecie, kosztując początku raju tutaj na ziemi, nauczył się czytać swoją historię w świetle Bożym, nauczył się widzieć Boga w każdym wydarzeniu, nie boi się już złych wiadomości, potrafi kochać w wymiarze krzyża i to stwarza wokół niego jakiś nowy ferment.

Kto tego wszystkiego doświadczył, czuje w sobie to, co św. Paweł, i wtedy biada mi, jeśli zachowam dla siebie, to wszystko co otrzymałem. O tym, że Chrystus wyciągnął mnie z błota, powiem najbliższemu, mojej synowej, szwagrowi, ale także i tym dalszym, przygodnie spotkanym, że jest wyjście. To jest ewangelizacja.

W Kościele pierwotnym też nie było zorganizowanej akcji misyjnej. Każdy czuł się misjonarzem. Istniała instytucja misjonarzy tzw. wędrownych, którzy wychodzili ze swego Kościoła i zakładali nowe Kościoły, przepowiadając Ewangelię w środowisku pogańskim. Tam Matka Kościół posyłała swych prezbiterów, by byli stałym punktem odniesienia. W zasadzie misjonarzem był każdy wierny i chrześcijaństwo przenosiło się na zasadzie szeptanej propagandy.

Jeśli tak się sprawy przedstawiają, to punkt ciężkości zawsze idzie w tym kierunku, żeby Kościół rzeczywiście był światłem i solą. Stanowi to problem naszego Kościoła dzisiaj. Wyznacza nam on zadanie, jakie mamy do spełnienia, a mianowicie ewangelizować sam Kościół, co ma prowadzić do nawrócenia i odnowy.

Jedynym sposobem nawrócenia się, wejścia w plan Boży, doświadczenia na sobie jego skutków jest skonfrontowanie ludzi ze słowem Ewangelii. Tylko wobec tego słowa może się dokonać decyzja człowieka -- uwierzę w to słowo, czy nie uwierzę. Jeżeli uwierzę, rozpocząłem drogę nawrócenia. Jeżeli nie uwierzę, zostaję w swoim świątku. Ewangelizacja jest punktem wyjścia -- nie tylko po to, by sam Kościół się nawrócił.

Spójrzmy na to zadanie jeszcze od innej, bardziej praktycznej strony. Przeprowadźmy refleksję nad tym, co my w Kościele robimy i co powinno się w Kościele robić.

Otóż mamy dzisiaj w Kościele bardzo rozbudowane i często dobrze prowadzone duszpasterstwo sakramentów św. Polega ono na tym, że wychodząc z założenia, że jedynie zbawienie jest dla ludzi w Kościele Chrystusowym, pytamy się, gdzie jest Chrystus obecny? Znajdujemy łatwo odpowiedź, której dostarcza nam teologia dogmatyczna, że Chrystus jest obecny w znakach sakramentalnych. Dlatego też nasze wysiłki idą w tym kierunku, żeby ludzi przyprowadzić do tych miejsc, gdzie Jezus jest obecny, do sakramentów św.

To duszpasterstwo musi być, ale jest ono dla tych, którzy są w środku Kościoła. Tragizm jest w tym, że Kościół do tego duszpasterstwa ogranicza się i w ten sposób sprzeniewierza się swojej misji bycia światłem, solą.

Dlaczego to duszpasterstwo sakramentalne jest niewystarczające? Dlaczego ono nie dociera do ludzi będących poza Kościołem? Ponieważ suponuje ono jako warunek wstępny minimum wiary. Ja muszę wierzyć, że w tabernakulum jest Chrystus, abym przyszedł i tam się modlił. Podobnie muszę wierzyć, że On jest obecny we Mszy św., w spowiedzi etc.

To wszystko wymaga wiary, tymczasem ci ludzie, którzy do Kościoła nie chodzą, oni bardzo często to minimum wiary utracili i teraz pytanie: czy jest dla nich jakiś pomost? Znaki sakramentalne suponujące wiarę, nie są skuteczne wobec tych ludzi, dlatego nie mogą być punktem wyjścia duszpasterstwa misyjnego.

Powstaje więc nowy problem, czy istnieją znaki, które by nie zakładały wiary, lecz mogły ją wzbudzić. Odpowiadamy na to tak: Istnieją! Jednym z nich jest znak opisany w Ewangelii św. Jana: "Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali, tak, jak Ja was umiłowałem, żebyście i wy tak się miłowali wzajemnie" (J 13,34-35).

Supozycją tego zdania jest to, że jest świat, który nie jest chrześcijański. To jest cała ludzkość, która ma poznać po waszej miłości, że wyście moimi uczniami. Jest jeszcze drugi znak uzupełniający pierwszy. Jezus mówi: "Nie tylko za nimi proszę, ale również za tymi, którzy dzięki ich słowu będą

wierzyć we Mnie, aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojcze we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili jedno w Nas, aby świat uwierzył, żeś Ty Mnie posłał" (J 17,20-21).

Świat ma uwierzyć orientując się po znaku miłości, jedności. Mamy tutaj miłość i jedność. O jaką miłość chodzi? Jezus mówi o miłości: "Jak Ja was umiłowałem" -- a Jezus umiłował nas, jak mówi św. Paweł, gdyśmy jeszcze byli wrogami i nienawróconymi.

Miłość do nieprzyjaciół to miłość rozpięta na krzyżu, której emblematem jest Sługa Cierpiący Jahwe. Dlaczego taka miłość?

Czyż nie ma w świecie innych, piękniejszych miłości, np. miłość dwojga narzeczonych, dwóch przyjaciół, męża i żony? Dlaczego o tych ostatnich nie można powiedzieć, że są znakiem Jezusa? Dlatego, że ta miłość jest osiągalna również ludzkimi siłami, nie można o niej powiedzieć, że dawcą tej miłości jest Jezus Chrystus. Ludzie mogą w Niego nie wierzyć, a On i tak będzie kochał.

Jednak ta ostatnia miłość posiada swój graniczny punkt, za który człowiek już przejść nie potrafi. Jak długo odpowiadasz moim gustom, jak długo mnie nie niszczysz, jak długo robisz to, co ci każe, wszystko jest w porządku. Tu jest właśnie bariera miłości czysto doczesnej.

Miłość w wymiarze krzyża jest miłością, która tę barierę przekracza. Taka miłość jest wchodzeniem w śmierć, jest przekreśleniem samego siebie, swoich gustów, ideałów. Jest zaakceptowaniem bliźniego za to, kim jest, a nie za to, co daje, w czym jest wydajny, w czym mi przynosi korzyść.

By taka miłość mogła w człowieku zaistnieć, musi w sobie pokonać lęk przed śmiercią. Tego dokonać może tylko Jezus Chrystus zmartwychwstały.

Podobnie ma się rzecz z jednością, która jest konsekwencją miłości w wymiarze krzyża. Ludzie widzą jedność, ale również do pewnych granic. Są one wyznaczone różnymi barierami, np. barierą wieku, pieniądza, wiedzy. Ludzie wiedzą o tych barierach i uważają, że to jest normalne, że inaczej być nie może. Kościół ma być miejscem, gdzie te bariery nie istnieją. Gdzie nie istnieją bariery wieku, wykształcenia, majątku, gdzie nie istnieją żadne dyskryminacje skóry i rasy.

Gdy w środowisku, gdzie bariery te są czymś normalnym, pojawi się wspólnota, w której nie ma żadnych granic, w której ludzie sobie wzajemnie pomagają, staje się ona znakiem dla ludzi obserwujących ją z zewnątrz. Parafia winna być tym przekrojem, tym cudem moralnym, który mówi, że Jezus jest, że działa. I teraz, gdy cię o to zapytają, zdaj sprawę ze swojej nadziei. Powiedz, że otrzymałeś to od Chrystusa w darze, że to jest ta miłość, którą rozlewa Duch Święty w sercach naszych.

To są warunki, żeby duszpasterstwo nasze stało się duszpasterstwem ewangelizacji. Wtedy może Kościół skutecznie przepowiadać Dobrą Nowinę. Wtedy, gdy w danej parafii istnieją te zjawiska: miłość w wymiarze krzyża i jedność doskonała, staje się ona misyjną. Ludzie niewierzący obserwując to zjawisko, są katechizowani faktami.

Misja Kościoła jest też taka, jaka była ostatecznie misja Jezusa Chrystusa -- umrzeć za świat. To jest misja cierpiącego sługi. Tę misję może Kościół wykonać dzięki temu, że ma swoich "Judaszów", swoich prześladowców. I to również trzeba ludziom mówić. Jest to, jak mówi św. Paweł, dopełnienie tego, czego nie dostaje cierpieniem Jezusa. Nie znaczy to, że cierpienia Jezusa były jeszcze niewystarczające, że muszą dojść jeszcze nasze cierpienia. Tylko że Jezus Chrystus pragnie umierać za ludzkość w każdym pokoleniu, a czyni to przez swój Kościół.

Czytając pisma, które powstały w czasie, gdy Kościół był prześladowany, można dostrzec, że duchowość męczeństwa była normalną cechą duchowości chrześcijańskiej. Każdy chrześcijanin przyjmujący chrzest liczył się z faktem, że może krwawo skończyć życie.

Stwierdziłem to już iks razy, że jak długo ktoś jest letnim chrześcijaninem, to nikt na niego nie zwróci uwagi, bo to nie jest groźne. Ale jak zaczyna dojrzywać do prawdziwego chrześcijaństwa, zaczyna inaczej myśleć niż inni, niż cały świat, od razu ma pełno wrogów.

I tu pojawia się drastyczne pytanie -- jaka jest misja Kościoła, gdy chrześcijanin staje wobec prześladowcy, który chce mu życie odebrać w takiej czy innej formie. I odpowiedź: Masz dać się zabić, tak jak uczynił to Jezus Chrystus. Tutaj jest najszczytniejsza misja, tutaj spełniłeś swój ostateczny cel.

## *Chrzest - "początkiem" Życia Chrystusa w nas*

Teraz pojawia się rysunek, który ks. Cholewiński tłumaczy w następujący sposób:

Poglądowo rysuję linię ludzkiego życia, w którym u niektórych ludzi zdarza się fakt zwany chrztem. Ten fakt nazywa św. Paweł największą rewolucją w życiu człowieka, faktem o donioślejszym jeszcze znaczeniu niż sama śmierć fizyczna. Tutaj bowiem zaczyna się w człowieku nowe życie, jakościowo różne od poprzedniego, które nie ma końca, jest mocniejsze niż śmierć. To nowe życie św. Paweł nazywa życiem wiecznym, a człowieka żyjącego nim "człowiekiem ducha" lub "człowiekiem nowym". Życie wieczne zaczyna się więc w człowieku od momentu chrztu.

Na temat, czym jest to nowe życie, jakie są jego cechy, mówi św. Paweł na końcu prawie każdego listu, gdzie po części dogmatycznej następują wnioski płynące dla życia. Dla przykładu weźmy List do Kolosan. Człowiek stary, według ciała, oddaje się chętnie rozpuście, nieczystości, lubieżności, złej żądzy, chciwości itd. Cechy nowego człowieka są ich przeciwieństwem (patrz Kol 3,1-15).

Możemy sobie dla ilustracji, człowieka według ciała narysować zgodnie z Listem do Hebrajczyków, jako człowieka manipulowanego przez szatana, ponieważ w środku, w sercu swoim nosi lęk przed śmiercią. Jest to ontologiczna sytuacja człowieka, który żyje w środku kręgu. W tym kręgu odłączony od Boga szuka życia w pieniądzu, w sukcesie, w ludzkim poszanowaniu.

Równocześnie człowiek pragnie kochać, czuje w sobie to prawo Boże zapisane w sercu, pragnie wyjść naprzeciw drugiemu człowiekowi, ale natrafia na mur. Widzi, że jeśli pójdzie dalej, to będzie musiał siebie przekreślić i tutaj jest jego dramat. Najczęściej staje się kukiełką szatana idącą na lep rozmaitych grzechów.

To jest sytuacja człowieka przed chrztem, do którego Chrystus ze swoim zbawieniem nie dotarł. Człowiek zostawiony samemu sobie nie jest wewnętrznie zły, lecz mocno zraniony. Zachował on jakieś pragnienie i znajomość miłości, wie na czym ona polega. On chciałby kochać, tylko że jest uwiązany, sparaliżowany.

Jezus Chrystus wyszedł poza ten krag, wszedł w śmierć przekonany, że tam jest Bóg i rzeczywiście Bóg Jego egzystencję ocalił. Bóg dał Mu życie w zmartwychwstaniu.

Człowiek według ducha przekreśla wszystkie swoje dawne uczynki, teraz żyje według nowego życia. Św. Paweł to życie streszcza w dwóch rzeczach: w miłości naznaczonej krzyżem i jedności, która z miłości powstaje. Bo tu już nie ma Greka ani Żyda... Wszystkie te bariery zostają obalone, wszyscy chrześcijanie stanowią jedność doskonałą, i na tym polega owo życie wieczne, które jest posiadaniem w sobie natury Boga.

Nasze parafie powinny się składać przynajmniej w większej części z ludzi według ducha, mających w sobie życie Boże.

Jakie mechanizmy muszą zadziałać, żeby człowiek przeszedł z człowieka według ciała na człowieka według ducha? Tradycyjna odpowiedź brzmi: Trzeba sobie samemu wypracować to nowe usposobienie -- czyli własny wysiłek. Podczas gdy odpowiedź Pisma Św. mówi, że tego rodzaju nowa jakość życia u chrześcijan bierze się z pewnej bazy ontologicznej, ze zmiany we wnętrzu tego człowieka. Św. Paweł i św. Jan te zmiany określają "nowym stworzeniem" lub "nowym narodzeniem" (J 3,5; Tt 3,5).

Tekst, który zacytuje jest nieco mniej znany od innych. "W Nim bowiem mieszka cała pełnia: Bóstwo na sposób ciała, bo zostaliście napełnieni w Nim, który jest Głową wszelkiej Zwierzchności i Władzy. I w Nim też otrzymaliście obrzezanie, nie z ręki ludzkiej, lecz Chrystusowe obrzezanie, polegające na zupełnym wyzuciu się z ciała grzesznego, (jest to ciało, w którym panuje zasada lęku przed śmiercią) jako razem z Nim pogrzebani w chrzcie, w którym też razem zostaliście wskrzeszeni przez wiarę w moc Boga, który Go wskrzesił. I was umarłych na skutek występku i nieobrzezania waszego, grzesznego ciała, razem z Nim przywrócił do życia" (Kol 2,9-13).

Poświęcimy teraz trochę uwagi na określenia związane z obrzezaniem serca. W określeniach tych chodzi o jedną rzecz, a mianowicie o zmianę i to bardzo radykalną, jako że się przechodzi ze stanu niebycia do stanu bycia nowo narodzonym i bycia stworzonym.

W obrzezaniu serca chodzi o to, że twoje serce jest teraz całkiem inne, już nie ma w nim lęku przed śmiercią, ten "oścień śmierci" został wyjęty z serca, z serca pojętego jako siedlisko całego życia umysłowego i duchowego człowieka.

To są zmiany radykalne, które mają charakter wydarzenia. Można od razu powiedzieć, na czym polega życie nowego stworzenia. Za św. Pawłem powiemy, że jest to życie Jezusa we mnie. Chrystus formuje je we mnie. Żyję już nie ja, żyje we mnie Chrystus.

W innym miejscu mówi św. Paweł, że taki człowiek otrzymuje od Ducha Św. świadectwo, że Bóg jest Ojcem. Świadectwo, które ma w sobie jako skutek ów okrzyk, który rodzi się w głębinach ludzkiego serca: Abba -- Ojczy! Okrzyk pełnego zaufania.

Co to znaczy? To znaczy, że człowiek przed grzechem miał odbiornik, który ciągle odbierał fale od Boga, odbiornik, który ciągle odbierał: Człowieku, ja cię kocham, żyj tą miłością. Chrystus w tym nowym stworzeniu sprawił, że ten odbiornik znów został uruchomiony.

To nie jest kwestia, że ktoś sobie wmówi, że Bóg jest miłością, albo że ksiądz na kazaniu czy na spowiedzi powie, że Bóg jest miłością. To nie jest kwestia słyszenia czy sentymentu itd., ale jakaś obiektywna pewność, która zaczyna się zakorzeniać w sercu człowieka, że Bóg mnie kocha. I to mi daje możliwość wejścia w śmierć, możliwość przekreślenia siebie. To mi daje możliwość akceptacji drugiego człowieka, możliwość uklęknięcia u stóp mojego wroga i umycia mu nóg, możliwość rozpięcia moich ramion i dania się ukrzyżować przez grzechy mojej żony, przez grzechy mojego męża, zdolność w moim małżeństwie, żeby ono wreszcie było nierozzerwalne, bo choćby mnie mąż czy żona zdradzała, to ja ją, jego dalej kocham.

Tak wygląda to nowe wydarzenie. Autorem tego wydarzenia jest przede wszystkim Bóg. Bo któż może sam siebie urodzić, kto może sam siebie wskrzesić z martwych będąc trupem? Tego może dokonać tylko Ten, który ma władzę wyprowadzenia z nicości, władzę dawania życia. Tym jest tylko Bóg.

W sferę tę wchodzi jeszcze darmość zbawienia, to, o czym boimy się mówić. Ludzie mają wrażenie, że to wszystko trzeba sobie wypracować własną pracą nad sobą, swoim staraniem i wysiłkiem. Nie! Najpierw musi przyjść to wydarzenie, a dopiero potem praca nad sobą na tle tego wydarzenia i w oparciu o nie, przynosi owoce.

Potrzebne jest współdziałanie człowieka na każdym odcinku, tylko ono jest inne w każdym stadium. To pierwsze współdziałanie człowieka św. Paweł nazywa wiarą. Ona sprawia, daje możliwość, że Chrystus może w tobie działać, że Chrystus może tego w tobie dokonać. Wiara jest darem Boga. Odnośnie do wiary nasza teologia mówi, że jest ona darem Bożym, a jednocześnie jest najbardziej wolnym aktem człowieka. Paradoksalnie można to i tak powiedzieć: Jeżeli ty mówisz "tak" Bogu na Jego Ewangelię, to do tego potrzebna jest Jego łaska, natomiast ty w sposób wolny możesz również powiedzieć "nie" i to "nie" jest twoim dziełem.

Ten schemat jest kluczem do interpretacji wielu perykop ewangelicznych, które można wykorzystać w homiliach, mianowicie, wszędzie tam, gdzie czytamy, jak Jezus uzdrawiał, przywracał z martwych do życia. Człowiek ślepy, głuchy, kulawy, chory jest typem człowieka dawnego, według ciała.

Przedstawmy najbardziej rozwiniętą perykopę w tej materii -- o niewieście cierpiącej na krwotok, w Ewangelii według św. Marka. Marek opisuje, że ta chora kobieta czuła się źle ze swoją chorobą. Szukała wyjścia z tej trudnej sytuacji, wydała wszystkie pieniądze na leczenie, a skutek taki, że miała się jeszcze gorzej. Teraz dowiaduje się, że istnieje ktoś, kto rozwiązuje tak głębokie problemy człowieka -- Jezus Chrystus.

Do tej kobiety doszła Dobra Nowina, że jest ktoś, kto pomoże jej w tym wszystkim, kto odejmie to zmartwienie. Kobieta przychodzi teraz do Jezusa i On uwalnia ją od tej choroby. Z Jezusa wyszła moc i ona staje się uleczona. I ta sama kobieta jest figurą człowieka według ducha, człowieka nowego. Uleczył ją Chrystus. Na końcu rzekł do niej: "Córko, twoja wiara cię uleczyła". Przeszłaś na drugą stronę dzięki wierze.

To jest to, o czym mówi św. Paweł, że liczy się wiara a nie uczynki prawa, że Jezus musiał cię dotknąć, Jezus najpierw z twojego serca musiał usunąć niemoc ujawniającą się w różnej formie. I to jest ta Dobra Nowina, tkwiąca w każdej Ewangelii, że Jezus kocha człowieka. Tylko zrób z Jezusa



naprawdę użytek, tzn. podejść do Niego z wiarą, bo tylu innych przechodziło obok Jezusa, potraçało Go i żadna moc z Jezusa nie wychodziła. Natomiast gdy ty zbliżysz się do Niego z wiarą, moc się z Niego uwalni i ciebie uleczy.

Jakie są związki z tym problemem dzisiejszego duszpasterstwa? Problemem pierwszym jest to, że człowieka żyjącego według ducha, człowieka żyjącego miłością trzeba szukać ze świecą. Jeszcze jednostkowego świętego można znaleźć, ale wspólnoty świętej ciężko jest poszukiwać. Jest to wielki znak alarmowy, że chrześcijaństwo zeszło z istoty rzeczy na jakieś peryferie.

Drugim problemem jest chęć posiadania dobrych chrześcijan przy zastosowaniu złej metody -- stosując moralizm. Mówimy: pracuj nad sobą. Mówimy, że chrzest jest nowym narodzeniem, nowym stworzeniem, ale uważa się, że wszystko dzieje się magicznie, jakby we śnie, albo przeskakuje się tu bardzo ważny etap, który daje człowiekowi dopiero podstawy do tego nowego życia.

Trzecim problemem jest to, że większość naszych wiernych, którzy przychodzą pod ambonę lub do konfesjonału, nie przeżyła jeszcze tego faktu. U nich jest ziarno tego wszystkiego, ziarno w którym to nowe narodzenie, to nowe stworzenie, współwskrzeszenie z martwych jest im dane, które jest w ich sercach i woła o realizację, ale się jeszcze nie rozwinęło.

Św. Paweł w Liście do Koryntian mówi, że gdy spostrzegł, że zbyt pochopnie i pospiesznie ochrzcił Koryntian, zauważył, że jeden uprawia kaziurodztwo, drugi się procesuje u sędziów pogańskich, że powstaje rywalizacja. Jeden jest Pawła, inny Apollosa, a jeszcze inny Chrystusa. Św. Paweł nazywa ich niemowlętami w Chrystusie. To znaczy, że to ich życie nie jest w nich rozwinięte. Tutaj najwyraźniej widać ten problem, że i my mamy do czynienia z takimi niemowlętami w Chrystusie.

My od niemowląt żądamy: kochaj męża, bądź uczciwy, nie kradnij, nie rób tego, nie rób tamtego. Nie kradnij -- to jeszcze ogólna zasada, którą człowiek potrafi zachować, ale gdy mówimy: wchodź w śmierć, przebacza 77 razy, bo tak uczy Ewangelia, to z czym do gościa? To tak, jak byś chciał, żeby ptak fruwał nie mając skrzydeł. I oto dlaczego nasza praca jest tak frustrująca, nasze duszpasterstwo kuleje, jest to ciągle syzyfowa praca.

Powstaje zasadnicze pytanie: Jak powinno wobec tego wyglądać duszpasterstwo, które pozwoliłoby ludziom przeżyć ten fakt, który umożliwiłby realizację ziarna chrztu, aby mogło przejść ono w akt, żeby mogło się ono stać?

Historia Kościoła daje odpowiedź na to pytanie. Istniało kiedyś duszpasterstwo uprawiane w stosunku do ludzi dorosłych, którzy prosili o chrzest.

Jedyną bramą wejścia do Kościoła jest chrzest i jakieś jego ożywienie w naszych sercach. Ta droga wiedąca do chrztu nazywała się kiedyś katechumenatem. Mogą być rozmaite formy, rozwinięte warianty tego katechumenatu.

Ważną rzeczą jest, żeby ten katechumenat zrozumieć, ponieważ często nazywa się katechumenatem 10 konferencji przedmażeńskich. Katechumenatem nazywa się 4 konferencje przed chrztem, które głosi się rodzicom, gdy przyniosą dziecko do chrztu. Wszystko to jest wielkim nieporozumieniem, to nie jest żaden katechumenat. W ujęciu biblijnym katechumenatem jest coś, co się zaczynało i powoli wznosiło. Typem katechumenatu może być historia Abrahama.

Abraham jako starszy człowiek, sfrustrowany, kończący życie widzi, że jego życie było bezsensowne, bo nie miał dziecka. Jest on typem człowieka według ciała. W pewnym momencie w jego życie wkracza Bóg ze swoim słowem. Bóg mówi - Ja ci dam moc, dam ci to, czego ci brak. Ja ci to obiecuję, Ja mam moc, aby twój brak uzupełnić. Jest to figura Ewangelii. Jest to Dobra Nowina, którą człowiek słyszy i otrzymuje. Ta obietnica ma znamię niemożliwości.

Abraham widzi, że po ludzku jest to niemożliwe. Dlatego postawił całkowicie na Boga, dał wiarę Jego słowu. Zaczątkowa wiara sprawiła, że Abraham zostawił swój dom, spalił mosty, poszedł za słowem Bożym. Wiara uczyniła z jego życia drogę. Wiara to nie chwila. Tą drogą idąc, Abraham był w szkole wiary. Podobnie katechumenat można nazwać szkołą wiary.

### ***Religie naturalne czekają na chrześcijaństwo***

Pytając się, co powinien robić chrześcijanin jako chrześcijanin, jaki powinien być, daje się w odpowiedzi to, co również mógłby dać każdy uczciwy człowiek, również i ateista. Być chrześcijaninem -- znaczy być uczciwym, dobrym mężem w rodzinie, prawdziwie odpowiedzialnym ojcem, dobrym pracownikiem, no i wymienia się rozmaite cnoty obywatelskie, społeczne, indywidualne.

I w ten sposób zatarła się różnica. W ten sposób ludzie z zewnątrz mają wrażenie, że chrześcijanie i niechrześcijanie, wierzący i niewierzący, różnią się od siebie chodzeniem do kościoła i koniec. Jest to najbardziej uderzająca różnica.

Później powstaje sytuacja tego rodzaju, że dajmy na to, w jednej rodzinie żyje niewierzący mąż i kobieta chodząca do kościoła. Tych dwoje ludzi w kwestiach praktycznych, w kwestiach codziennej, normalnej filozofii ludzkiej, są doskonale zgodni.

Wierząca kobieta i niewierzący mąż uważają, że grunt to pieniądź. Wierząca kobieta i niewierzący mąż uważają, że najważniejsze jest dobre imię rodziny, że najważniejsze w wychowaniu dzieci, to dać im dobry zawód, który popłaca, daje im prestiż społeczny i sprawia, że będą honorowani. Obydwoje popychają swoich synów, mówiąc: "Ty się nie daj, bo jeżeli ty nie będziesz walczył, to cię inni wypchną" itd. Nie ma w postawach żadnej różnicy.

Mąż niewierzący i wierząca żona mówią, że zgadzają się doskonale w konkretnych sprawach życia. Rzeczywiście różnią się tylko tym, że ona chodzi do kościoła. "Ma jeszcze taką potrzebę, to niech ją sobie zaspokaja. Ja takiej potrzeby nie mam, więc do kościoła nie chodzę. W życiu się jednak niczym nie różnimy. Ja też staram się być uczciwy, tak jak ona; czasami nawet ona jest gorsza ode mnie" - mówi niewierzący mąż.

Chciałbym powiedzieć, że mieszamy idee człowieka uczciwego z chrześcijaństwem. My dobrze wiemy, gdzie jest różnica, co jest więcej chrześcijańskie, jeśli chodzi o ideał moralności. Wiemy, że jest nim miłość, ale miłość naznaczona krzyżem, do której świat nie jest zdolny, której w świecie nie ma. Ona nie bierze się z naszych wysiłków, tylko bierze się z tego, że Jezus Chrystus Zmartwychwstały wchodzi w nasze życie ze swoją mocą i pokonuje w nas lęk przed śmiercią.

Zmartwychwstały Chrystus sprawia, że możemy wchodzić w krzyż, w śmierć, ryzykować naszym życiem. Ryzykować życiem nie tylko w sensie fizycznym, ale również przekreślając siebie na codzien. I wtedy dopiero mamy coś z chrześcijaństwa.

Dalej, chciałem trochę szerzej omówić utożsamianie chrześcijaństwa z religią, traktowanie chrześcijaństwa na poziomie religii. Tymczasem chrześcijaństwo nie jest religią. Między religią a wiarą istnieje różnica i to głęboka różnica. Jest niedobrze, gdy się o tej różnicy zapomina, gdy się nie wie, na czym ona polega i gdy chrześcijaństwo jest przeżywane na poziomie jakiegokolwiek religii. I dlatego kilka słów chcę powiedzieć, jak ja rozumiem religię.

Otóż religia sama w sobie jest czymś bardzo dobrym, jest jednym z wyposażenia, jakie Pan Bóg nam dał. Jest to "antena" w nas, która jest odwrócona na transcendencję, na to, co Boże, która z łatwością odkrywa ślady Boga w świecie, która człowieka skłania do tego, żeby składał akty adoracji, żeby się modlił, żeby przez ofiary wyrażał Mu uznanie siebie za stworzenie, a Jego za Stwórcę.

Religijność istnieje w różnych formach, mniej lub bardziej skażonych, w rozmaitych religiach świata. Człowiek jest religiosus, to znaczy, że religijność jest w nim czymś pierwotnym, ateizm jest zaś zjawiskiem wtórnym, jest czymś, co przyszło bardzo późno.

Ale nie o tej religijności teraz będę mówił. Będę mówił o tej religijności, na którą pada cień naszego grzechu, na którą pada konsekwencja faktu, że cała ludzkość zbuntowała się przeciw Bogu i dźwiga na sobie dziedzictwo grzechu pierworodnego. I ono wypacza jak grzyb religię, jej przejawy. Te wypaczenia są obecne w każdej religii. Zobaczmy, że przez szerokie masy chrześcijaństwo przeżywane jest jako religia obarczona tymi wypaczeniami.

Najpierw trochę o źródłach religii. Otóż w tym stanie, w jakim ludzkość de facto po grzechu znajduje się, prócz tej naturalnej łatwości, wrażliwości, nastawienia, jakie mamy w naturze na to, co Boże, działają jeszcze dodatkowe dwa źródła, które podsycają religijność człowieka.

Pierwszym źródłem jest potrzeba wyjaśniania sobie świata. Bóg jest Stwórcą, Bóg jest przyczyną wszystkich rzeczy.

Drugim źródłem, które podsyca religijność, jest potrzeba zabezpieczenia. Człowiek nie może żyć w niepewności, że jego egzystencja jest zagrożona, że może być nagle zniszczona przez jakiś kataklizm, że nagle jego pole ziemniaków zostanie zalane przez wodę i nie będzie miał co jeść. Człowiek szuka na wszelki sposób zabezpieczenia, a ponieważ nie znajduje tego zabezpieczenia w swoich możliwościach, dlatego niech przynajmniej jego zabezpieczeniem będzie Bóg. To mnie do Niego pcha, to mnie do Niego zbliża, to mnie zmusza do tego, że szukam u Niego zabezpieczenia.

Są to zjawiska, które bardzo często obserwujemy u ludzi. Gdy czasy są trudne, gdy grozi jakaś choroba, coś nieprzewidzianego, wówczas ludzie idą do Kościoła. Gdy się wszystko wyrównuje, gdy wszystkie chmury z horyzontu nikną, gdy im się dobrze powodzi, to łatwo z niedzielnego obowiązku Mszy Św. się zwolnić. Gdy przyprze potrzeba, to pcha nas coś w kierunku religii, bo co mamy ostatecznie robić?

Widzimy więc, jak te dwa źródła wspierające religijność działają dziś przeciwko niej. Widzimy, że w miarę, jak rośnie organizacja życia społecznego, jak rośnie technika, jak rośnie system zabezpieczeń, im człowiek pewniej się czuje, tym bardziej wygasa w nim potrzeba życia Bogiem, uciekanie się do Niego, jako do zabezpieczenia. W miarę, jak rośnie dobrobyt w kraju, odpada również potrzeba szukania Pana Boga.

Przychodzi mi na myśl przykład, który opowiadał mi w zeszłym roku pewien ksiądz z Norymbergii. W parafii jego kolegi pod Norymbergą osiedliła się grupa Ślązaków. W pierwszym roku zaludnili kościół. Frekwencja w kościele zwiększyła się ogromnie, ale po roku 90 % tych ludzi przestało praktykować.

Wyrwani ze swojego środowiska, przeniesieni, przeszczepieni na grunt, gdzie panuje ogromny dobrobyt, nasze "pieruńskie Ślązaki", które w Piekarach śpiewają tak, że aż tynki z domów odpadają, już po roku nie odczuwały potrzeby religii, potrzeby chodzenia do kościoła. Wszystko wyparowało.

W religijności naturalnej, obarczonej naszym grzechem, ludzie mają spaczony obraz Pana Boga. Bóg jawi się tu człowiekowi jako istota, która stworzyła świat, która panuje nad światem, która rządzi światem i historią, ale w gruncie rzeczy jest w swoich rządach nieobliczalna, kapryśna. Nie wiadomo, kiedy piorun spadnie na twój dom. Nie wiadomo za co i po co. W nastawieniu człowieka do Pana Boga przeważa poczucie lęku. Miłość idzie na dalszy plan, miłość wątleje, pojawia się natomiast poczucie lęku. Pan Bóg wzbudza strach, a więc z Panem Bogiem trzeba dobrze żyć.

Tu pojawia się druga cecha -- mianowicie interesowność w podejściu do Pana Boga. W centrum tej religijności stoi człowiek, który wie, czego od życia chce, który sam sobie buduje swoje życie, tworzy swoje własne szczęście. Człowiek, który wie, że mogą się zdarzyć pewne fakty nieprzewidziane, które przekraczają jego zdolności zabezpieczenia sobie swoich własnych planów.

Pan Bóg rządzi światem, jest nad tymi faktami i wobec tego musi się z Panem Bogiem dobrze żyć, musi utrzymywać się z Nim dobre stosunki, nie można dawać Mu powodów, żeby się gniewał. Pojawia się w tej religijności handlarskie rozumowanie. Od Boga żąda się, żeby łaskawie pomagał w realizowaniu naszych ludzkich planów.

W religijności tej ogromną rolę będzie odgrywała ofiara, ponieważ jest ona tym aktem, w którym człowiek naprawdę coś sobie odbiera. Im wartościowsze jest to, co człowiek sobie odbiera i oddaje Panu Bogu, tym mocniej pojawia się myśl, że przecież Pan Bóg nie okaże się świnią i nie będzie człowiekowi nagle życia psuł, nie będzie życia dezorganizował, wysłucha człowieka, gdy Go o coś poprosi.

Z tej religijności, zarówno w tym, że jest ona naturalnie dobra, jak i w tym, że obecnie funkcjonuje ona skażona grzechem pierworodnym, rodzą się rekwizyty otoczone u ludzi specjalną teologią -- Boga trzeba gdzieś umiejscowić. Jeżeli człowiek musi z Nim nawiązać kontakt, jeżeli ma Mu coś dać, jeżeli ma się do Niego modlić, to chce wiedzieć, gdzie ma to zrobić, gdzie można ten kontakt nawiązać.

Ludzie bardzo łatwo umiejscowiają Boga w miejscu, które im imponuje swoim ogromem. Dlatego w religiach miejscem świętym są wysokie góry, albo np. ludy pasterskie widzą takie miejsce w pięknych rozłożystych drzewach, albo w miejscu, gdzie spadł piorun, meteor itd.

Człowiek jest skłonny mówić: "To jest miejsce, w którym Pan Bóg się objawia, w którym następuje Jego teofania, w którym może być dostępny". Buduje sobie płot naokoło tego miejsca, tam również wznosi dom i w ten sposób mamy świątynię.

W świątyni najważniejszym sprzętem jest ołtarz, bo człowiek składa na ołtarzu swoją ofiarę dla Pana Boga. Najważniejszą czynnością, która się w świątyni odbywa, oprócz modlitwy, jest właśnie ofiara. Ale człowiek idzie do świątyni z brudnymi rękami i żeby nie został przez Pana Boga odtrącony, dlatego deleguje pewne osoby, które mieszkają stale w świątyni i są przez niego opłacane, aby brały z jego rąk ofiary i w jego imieniu zanosily je Panu Bogu. W ten sposób pojawia się figura kapłana.

Religijność naturalna dzieli świat na miejsca święte i na miejsca świeckie. Miejsca święte to te, w których przebywa Pan Bóg. Świątynia pojęta jest więc jako rezerwat -- tam przebywa Pan Bóg, a cała reszta jest normalnym światem. I tam mogę się zachowywać normalnie. Czuję się tam jak u siebie w domu, bo mogę sobie trochę pogrześcić, mogę sobie i trochę sprośnych piosenek pośpiewać itd. A świątynia to co innego, tam jest miejsce święte, tam muszę chodzić na palcach.

Tak samo religijność ta dzieli czasy na czasy święte i czasy zwykłe. Wydarzenia w świecie dzieli się na wydarzenia dobre i na wydarzenia złe według tego, co dla koncepcji człowieka, dla jego szczęścia, planu życiowego jest korzystne. Jeżeli go popiera, jest dobre, jeżeli niszczy, jest złe. Pewne rzeczy są złe dla wszystkich, np. choroby, ale każdy ma jeszcze dodatkowe kryteria oceny, co jest dobre a co złe. Mówiąc to, chciałbym jedynie zwrócić uwagę na pewne cechy, które łatwo znajdujemy w ludziach.

Gdy byłem w Lublinie w 1974 roku duszpasterzem akademickim, uderzyło mnie, że kiedy odbywały się egzaminy wstępne na KUL, to było więcej spowiedzi niż w Wielki Piątek czy w Wielką Sobotę. Dlaczego młodzież garnie się do spowiedzi właśnie w tym dniu? Dlatego, że jest to ważna chwila w jej życiu i lepiej, żeby Pan Bóg nie miał w tym dniu żadnego "ale", tak na wszelki wypadek, bo od Niego zależy, że taką a nie inną kartkę, z takim a nie innym tematem wylosuje -- lepiej być z Nim w porządku.

Albo drugi przykład -- pamiętam jak Etna wylała w 1972 roku. Był to wielki wylew i wtedy wszyscy ludzie -- wierzący i niewierzący, ateści i nieateści -- szli do księdza, żeby wziął Najświętszy Sakrament; sami brali figury świętych z lamusa i poszli błogosławić lawę. Wszyscy, absolutnie wszyscy: i ci, co wierzyli, i ci, co nie wierzyli. Nie mieli nic do stracenia, a dużo do zyskania. Oczywiście, Pan Bóg lawę wstrzymał tuż przed pierwszymi domami, bo Pan Bóg jest dobry i nigdy, gdy nie trzeba, nie szkodzi człowiekowi.

Tak mniej więcej wyglądają schematy religii skażonej grzechem. I trzeba teraz postawić pytanie: Czy to jest chrześcijaństwo? Gdy obserwuję ludzi, ich mentalność, że w gruncie rzeczy funkcjonuje u nich schemat nie tylko religijności dobrej, ale także i skażonej, bo wszyscy żyjemy z balastem grzechu. Owszem, jest ona na zewnątrz pozłacana treściami chrześcijańskimi, ale w środku funkcjonuje schemat religijności skażonej.

Teraz dla przeciwstawienia jeszcze raz uświadomimy sobie, czym jest chrześcijaństwo. Otóż nie potrzebuje ono dodatkowych przesłanek, tj. potrzeby wyjaśniania i potrzeby zabezpieczenia.

Chrystus Zmartwychwstały rodzi się w człowieku wtedy, gdy uświadomi on sobie swoją własną sytuację egzystencjalną, która spowodowana została wejściem w grzech. Rodzi się ona wtedy, gdy człowiek zaczyna z tego powodu cierpieć, gdy nie jest mu z tym dobrze. Wtedy zjawia się w człowieku przesłanka, która otwiera go na Boga Zbawiciela. Przesłanka, która może otworzyć mu dostęp do wiary, do chrześcijaństwa i zbudować gmach wiary, gmach życia chrześcijańskiego.

W chrześcijaństwie inicjatywa wychodzi od Boga. W schemacie religijności naturalnej też w pewnym sensie wyszła ona od Boga, bo to Bóg stworzył naturę szukającą Boga, łatwo się na Niego otwierającą. Jest to religijność w dobrym znaczeniu.

Ale w chrześcijaństwie Bóg szuka człowieka nowym, pozytywnym wejściem w historię. Pan Bóg wybiera sobie wyznawców. Typem takiej postawy może być fakt, jak Bóg wchodzi w historię i mówi do Abrahama: "Wyjdź z domu swojego".

Typem takiej postawy może być Jezus Chrystus, który chodzi po Palestynie i mówi do Mateusza siedzącego przy cie, albo do dwóch innych, którzy naprawiali sieci, czy też do Bartłomieja -- "chodź za mną". Jezus zbiera sobie uczniów, wybiera chrześcijan. Gdy Mu się wszyscy rozbiegli, zgorszeni skandalem krzyża, Jezus Zmartwychwstały na powrót zbiera ich i scala swoimi objawieniami, tworząc Kościół.

Bóg, który szuka człowieka w tym, co czyni w historii Starego Testamentu, a zwłaszcza w tym, co czyni w osobie Jezusa Chrystusa, przekonuje człowieka, że jest Miłością, że nie trzeba się Go bać. Odbudowuje w człowieku wiarę w Bożą Miłość nie tylko zewnętrznymi dowodami, ale daje mu wewnętrzny głos Ducha Św., który w naszych sercach woła: "Abba -- Ojciec".

To Duch Św. działając od wewnątrz stwarza w człowieku przekonanie, że Bóg jest miłością, że nie chce człowieka zniszczyć, lecz przebacza mu grzechy. Jest to miłość, która wyprowadza nas z moralnej anarchii. To właśnie ta miłość uczy nas wierności przykazaniom, to właśnie ona sprawia, że Boże prawo może być zapisane w człowieczym sercu.

O ile w religijności naturalnej w centrum był człowiek, który buduje sobie własne życie, tworzy własne szczęście, a od Pana Boga żąda, żeby popierał jego plany, o tyle w chrześcijaństwie w centrum jest Bóg.

Obrazem takiej sytuacji jest marsz Izraela przez pustynię. Pan Bóg w postaci słupa ognistego w nocy i chmury w dzień idzie przed ludem. Gdy słup zatrzymuje się, znaczy to, że w tym miejscu ma być postój tak długo, jak długo jest nieruchomy -- dwa dni, tydzień, miesiąc. Gdy słup podniesie się, pochód podąża za nim.

Bóg prowadzi człowieka do ziemi obiecanej. To On ma plan mojego życia, lepszy niż mój. Powierza człowiekowi misję do spełnienia -- lepszą niż ta, którą sam sobie wymyślił. Daje ją do zrozumienia dzień po dniu w faktach, które stawia człowiekowi przed oczyma, w faktach, na które pada Jego Słowo. W ten sposób życie człowieka staje się pełne. To jest wiara: Bóg buduje mi życie, szczęście. Bóg idzie przede mną. Bóg prowadzi mnie nie ku mojemu nieszczęściu, lecz ku ziemi obiecanej, gdzie płynie mleko i miód, a ja idę za Nim.

W chrześcijaństwie, w przeciwieństwie do religii naturalnej, nie ma świątyni, nie ma kapłana, nie ma ołtarza i nie ma ofiary. Zdanie to wypowiedział Orygenes w Contra Celsum.

W jakim sensie? W chrześcijaństwie nie ma świątyń z symbolizmem, które nadano świątyniom pogańskim, to znaczy pojętym jako rezerwaty dla Pana Boga, jako miejsca święte, a poza nimi świecki świat. W chrześcijaństwie świątynia nie jest wydzielonym miejscem, lecz jest nią człowieczeństwo -- Ciało Jezusa Chrystusa Zmartwychwstałego. W Nowym Testamencie miejscem, gdzie przebywa Bóg, są serca chrześcijan, jest wspólnota Kościoła Świętego. To jest ta świątynia.

Jezus na pytanie Samarytanki, gdzie Bóg pragnie być czczony -- czy na górze Garizim, czy w Jerozolimie, odpowiedział: "Ani na Garizim ani w Jerozolimie, lecz nadejdą czasy, kiedy Bóg poszuka sobie czcicieli, którzy będą Go czcili w duchu i prawdzie" (J 4,21-23).

W chrześcijaństwie nie ma także ołtarza, ofiary, kapłana, bo jedynym ołtarzem, ofiarą, kapłanem jest Jezus Chrystus, ofiara z Jego Ciała, Jego życia, którą złożył na Golgocie, na ołtarzu krzyża. To jest jedyna ofiara w chrześcijaństwie.

Ludzie przyjdą jednak do nas ze zdziwieniem: "Czyż nie mamy kościołów? Nie ma w nich księży? Nie ma kapłanów? Nie ma Mszy św.? Czy to nie jest ofiara? Nie ma ołtarzy w naszych kościołach? Przecież w każdym stoi ołtarz?". Trzeba jednak pamiętać, że Orygenes powiedział, że: "nie ma w chrześcijaństwie ofiary ani ołtarza, ani kapłana w sensie w jakim były w religiach pogańskich".

Dla nas świątynia nie jest miejscem wydzielonym dla Pana Boga, w którym On przebywa, a poza świątynią Go nie ma. Dla nas świątynia przybrała inną symbolikę. Nasze pierwsze świątynie to po prostu sale, pomieszczenia, w których gromadziła się wspólnota chrześcijańska, dopiero później zaczęto budować świątynie. Nabiera ona wtedy innego symbolizmu. Mianowicie - cegły, z których

się ona składała, stały się symbolem świątyni duchowej, złożonej z ludzkich istot, w których mieszka Bóg.

Jedynym naszym kapłanem jest Jezus Chrystus, jedyną ofiarą jest Jego ofiara na krzyżu. Msza św. nie jest ofiarą w sensie ofiar pogańskich, lecz jest uobecnieniem, uaktualnieniem ofiary Chrystusa, jej sakramentalnym znakiem i obecnością -- tej jedynej ofiary.

Nasz ołtarz nie jest ołtarzem w sensie ary pogańskiej, na której zabijano zwierzęta. I mimo że później przybrał on taki kształt, to jednak na znak, że nasz ołtarz pochodzi od stołu, przy którym Jezus Chrystus spożywał ucztę paschalną ze swoimi uczniami, przykryty jest obrusem.

Kapłani w naszej religii nie są kapłanami w sensie kapłanów pogańskich. Kapłan chrześcijański jest znakiem Kapłana -- Jezusa, znakiem Jego obecności. Jezus ich rękami wykonuje swoją funkcję dla dobra ludu Bożego.

W chrześcijaństwie nie ma miejsc świętych i miejsc świeckich. Dla nas wszystko jest święte. Całe nasze życie stało się święte, gdyż spędzamy je w bliskości Boga, w ustawicznym oddawaniu Mu duchowego kultu, jak mówi św. Paweł.

Wszystkie fakty stają się dla chrześcijan dobre, ponieważ zrozumieli tajemnicę krzyża, której religia naturalna, zwłaszcza w formie skażonej, nie mogła pojąć. Działa ona na zasadzie ucieczki od krzyża: "Panie Boże, ratuj mnie przed krzyżem, zabierz krzyż z mojego życia".

Natomiast chrześcijanie zrozumieli, że krzyż, (bo tak było w przypadku Jezusa Chrystusa), stał się miejscem najgłębszego spotkania z Bogiem, stał się miejscem, w którym doznaje się zbawienia Bożego. Poprzez krzyż weszło błogosławieństwo obiecane Abrahamowi.

Znosi się w ten sposób manicheizm, który towarzyszy ludziom w patrzeniu na świat. Wtedy wszystko staje się dobre, wtedy zaczyna człowiek na chorobę patrzeć innymi oczyma, wtedy zaczyna widzieć rozmaite niepowodzenia jako język, w którym Pan Bóg do niego przemawia, jako język Jego miłości, w którym chce mu coś powiedzieć. Zaczyna również patrzeć na krzyż jako na miejsce, w którym spotyka się z Bogiem w swoim życiu.

Widzimy więc, że jest duża różnica między religijnością naturalną a chrześcijaństwem, o ile rzeczywiście w czymś sercu zaistnieje.

W starożytności wszyscy byli ogromnie religijni. Również ludy, które nawracały się na chrześcijaństwo, były ogromnie religijne. Co więcej one widziały w chrześcijaństwie -- co więcej daje chrześcijaństwo w porównaniu z religią naturalną?

Dla ilustracji odpowiedzi na to pytanie posłużę się opisem obrazów, które pojawiają się w katakumbach. Jest tam obraz trzech młodzieńców, którzy znajdują się w piecu ognistym, a obok nich stoi jakaś czwarta postać.

Obraz ten dobrze ilustruje sytuację, o której mówimy. Mianowicie, chrześcijanin to człowiek, który tak jak każdy inny jest umieszczony w świecie, gdzie jest płomień krzyża, cierpienia, palący każdego człowieka. Podczas gdy płomień innych ludzi pali, z chrześcijaninem dzieje się to, co zobaczył zdumiony Nabuchodonozor, który skazał trzech młodzieńców na spalenie. Kazał otworzyć piec i popatrzył na nich, a oni nie byli spaleni.

Dzisiejsi bibliści mówią, że obraz ten jest prawdopodobnie niehistoryczny. Nam chodzi jedynie o obraz. Młodzieńcy stoją pośrodku ognia nienaruszeni i, o dziwo, śpiewają hymn pochwalny na cześć Pana Boga. "Czy nie wrzuciliśmy trzech młodzieńców do pieca? Co tam robi czwarta osoba?" -- pyta Nabuchodonozor. Jest to anioł, który ich zabezpiecza i ocala z płomieni. To jest chrześcijaństwo.

Chrześcijanin nie jest traktowany lepiej niż wszyscy ludzie. Również jemu rodzą się dzieci debile, również jemu zdarzają się wypadki na ulicy, również jemu umiera młoda żona na raka, również jemu zdarza się, że dziecko ucieka z domu, również jemu trafia się teściowa nie do zniesienia. To są płomienie, które palą wszystkich ludzi.

Ale chrześcijanin ma w odróżnieniu od religijności naturalnej to, że przy nim jest czwarta osoba -- Jezus Chrystus Zmartwychwstały, który w nim żyje, który sprawia, że krzyż traci swój oścień. "Żyje już nie ja, żyje we mnie Chrystus" -- mówi św. Paweł. Krzyż nie przestał być krzyżem, płomień nie przestał być płomieniem, tylko utracił swój oścień, już człowieka nie niszczy.

Normalnie krzyż i cierpienie ludzi wewnętrznie łamie w taki czy inny sposób, a chrześcijanin w krzyżu znajduje życie, bo jest w nim obecny Jezus Chrystus Zmartwychwstały. I On powoduje, że chrześcijanin w świecie, w którym żyje, czy to komunizmie, czy kapitalizmie, w Albanii, czy w Polsce wielbi Boga, bo wie, że wszystko jest dobre i święte, gdyż wszystko pochodzi od Boga.

Mówię o tym, bo odnoszę wrażenie, że ogromnie dużo z tego, co robimy w duszpasterstwie, służy jedynie podtrzymaniu religijności naturalnej ludzi, natomiast ma mały związek z wprowadzaniem ich w logikę wiary, w cudowny świat chrześcijaństwa takiego, jakim go Biblia prezentuje i jaki tu cały czas wspólnie kontemplujemy.

Jeszcze kilka słów powiemy, by zrozumieć, jaki jest obecny moment naszej historii i skąd się on bierze. Chrześcijaństwo wyszło ze swego źródła dosyć czyste, dosyć jasno odróżnione od innych religii. Ludzie w I, II i III wieku jasno zdawali sobie sprawę, że chrześcijaństwo daje coś więcej niż religia naturalna, bo inaczej nie do zrozumienia jest fakt, dlaczego oni przyjmowali chrześcijaństwo.

Ci, którzy się wtedy nawracali, wiedzieli, że najprawdopodobniej skończą swoje życie męczeństwem. Musieli więc zastanawiać się dziesięć razy, zanim zdecydowali się zostać chrześcijanami. Oni jasno widzieli różnicę, o której mówiliśmy.

Dalej powstaje pytanie, kiedy chrześcijaństwo zaczęło się przykrywać patyną religijności naturalnej? Już w pierwszych trzech wiekach, ale w sposób nieznaczny i nieistotny, nie naruszający głębokich struktur. Na szerszą skalę i dosyć szybko proces ten narastał po Edykcji Mediolańskiej, gdy chrześcijaństwo wyszło z katakumb i stało się religią panującą, religią państwową. Co się wtedy stało?

Po pierwsze, gdy chrześcijanie i ich religia została uznana za państwową -- role się odwróciły. O ile przedtem, kto chciał być chrześcijaninem, musiał się dwa razy zastanowić, czy warto, o tyle teraz, gdy cesarz był chrześcijaninem, gdy wysokie urzędy były obsadzone chrześcijanami, zaczął się pęd do chrześcijaństwa, przyjmowanie chrześcijaństwa stało się objawem oportunizmu.

Nie to jednak było najgorsze, istniał wszakże katechumenat. Ale zdarzył się inny fakt, również dany od Pana Boga, że chrześcijaństwo chciały przyjąć całe narody wraz ze swoim władcą.

To, co w tej chwili powiem, nie jest krytyką Kościoła, lecz tylko stwierdzeniem faktu. Kościół był do tego momentu przygotowany długim okresem katakumb, a teraz Pan Bóg postawił go w zupełnie nowej sytuacji historycznej. Kościół nie mógł robić z całymi narodami tego długiego okresu przygotowania, które do tej pory robił z jednostkami, które prosiły o chrzest. Kiedy nagle prosi o chrzest 100 tysięcy ludzi, to nie można już bawić się w długi katechumenat. Było to rzeczą niemożliwą.

W jakiejś encyklopedii czytałem np., że okres przygotowania narodów trwał najdłużej rok, a normalnie parę miesięcy. Jako czas minimalny odnotowano, nie pamiętam przy jakim narodzie, 40 dni katechizacji. Kościół był do tego zmuszony.

Nie był to grzech ze strony Kościoła, lecz było to podyktowane koniecznością chwili. Kościół robił to w nadziei, że katechizacja będzie dopełniona później, gdy ci ludzie będą już chrześcijanami.

Kościół zaczął również sobie zadawać pytanie, czy zatem katechizacja ma iść innym torem? Zrozumiał, że będzie trzeba po prostu brać kategorie, schematy pogańskie i wypełnić je chrześcijańskimi treściami. Myślę, że była to jedynie słuszna metoda w takiej sytuacji. Tylko że metoda ta kazała sobie drogę zapłacić.

Nie było bowiem rzeczą możliwą wyrugować z mentalności tych ludzi dawnych schematów pogańskich, które nie pasowały do chrześcijaństwa. Nastąpiło raczej dopasowanie chrześcijaństwa do tych schematów.

Ludzie wychodzący z kościoła pytali ze zdumieniem "Rany Boskie, religia bez świątyni, co to za religia?". Chwileczkę, mamy świątynię. Miejsca naszych spotkań są tym, czym dla was świątynia. Weszli więc do Kościoła, ale weszli z balastem, że świątynia jest rezerwatem dla Boga, że jest ona miejscem świętym, a poza nią można czuć się swobodnie, bo tam już Pana Boga nie ma. I to wlecze się przez lata.

Co to za religia -- pytają dalej nowoochrzczeni -- w której nie ma kapłana ani ofiary? Chwileczkę, mamy ofiarę. Nasza Eucharystia jest tym, czym była dla was wasza ofiara. I znowu przykrywa się Eucharystię balastem idei ofiarniczych, jakie miała religia naturalna.

O kapłanie zaczęto myśleć w kategoriach kapłana pogańskiego, zaczęto go pojmować jako przedstawiciela, który musi być święty, bo jest tym, który stoi przy Panu Bogu.

I dlatego ludzie się gorszą, gdy widzą, że ksiądz ma jakiś grzech. Jeżeli kapłan nie jest święty, to kto będzie święty? Kapłan musi być urzędowo święty, żeby dawać wiernym gwarancję, że jak dają na Mszę św. -- to będą wysłuchani. Tak ludzie myślą i z taką świadomością żyją.

Kościół te metody stosował przez długie wieki. Przykładem jest święto Bożego Narodzenia. Kościół widział, że ludzie, gdy przychodzi przesilenie nocy i dnia, uciekają w lasy i tam składają ofiary na cześć słońca. Kto jest naszym słońcem? -- Jezus Chrystus! Obchodzimy Jego narodzenie, żeby ludzie nie chodzili do lasów, żeby mieli również w Kościele odpowiednik tego, czego odczuwali naturalną potrzebę.

Ostatnim takim przykładem może być to, co papież Pius XII zrobił w pogańskie święto pracy. Przecież my, chrześcijanie, mamy świętego Józefa -- robotnika, a Jezus też był cieślą -- obchodzimy więc chrześcijańskie święto pracy.

To nie jest złe, to jest dobre; tylko tłumaczy nam, skąd się wzięło tyle elementów religijności naturalnej u ludzi, dlaczego oni tak spłaszczają chrześcijaństwo. Do takiej sytuacji przyczyniła się złe zrozumiana lub pobieżna katechizacja, która nie potrafiła im pokazać specyfiki chrześcijaństwa, sposobu, w jaki ono funkcjonuje, jak ono dochodzi do skutku itd.

Obecnie mamy taką sytuację na całym świecie, z wyjątkiem Polski. Widzę, że to może być i na pewno jest opatrznościowe. O ile od IV wieku wzywał mieliśmy zjawisko, że całe narody wchodziły do Kościoła, tak teraz widzimy, że całe narody z Kościoła wychodzą, stają się pochrześcijańskie, agnostyczne.

Uważam, że zjawisko to, które niszczy religię, nie będzie mogło zniszczyć chrześcijaństwa, o ile chrześcijaństwo będzie chrześcijaństwem, o ile teraz ze strony Kościoła wyjdzie program, plan, wysiłek, żeby tych ludzi, którzy pozostają w Kościele, przestawić z religijności naturalnej na chrześcijaństwo.

Niech oni wejdą w porządek, w logikę wiary, w chrześcijaństwo przeżywane jako chrześcijaństwo. Na miły Bóg, korzystajmy z okazji.

Stary Testament zapożyczył język religijny, z języka już istniejącego. Myślę, że to samo zrobiło chrześcijaństwo, gdy miało przed sobą narody pogańskie, które miały wejść do Kościoła. Zastosowano tu tę samą metodę, wzorowano się po prostu na tym, co zrobił sam Pan Bóg. Tylko, gdy obserwujemy Stary Testament, to widzimy, jak Pan Bóg powoli oczyszczał ich religijność z naleciałości religii naturalnej i przygotowywał tę społeczność na przyjęcie wiary w Jezusie Chrystusie.

Weźmy np. kwestię ofiar. W miarę jak idziemy ku Jezusowi Chrystusowi, punkt ciężkości przesuwają się coraz bardziej z krwawych ofiar na Paschę.

W czasie wygnania pojawia się rzecz zupełnie nieznaną w innych religiach -- synagoga z liturgią Słowa Bożego. Pan Bóg uczy swój lud tej, jak to św. Paweł nazywa, pociechy Pisma, tzn. szukania w Piśmie Św. światła dla zrozumienia aktualnej historii, aktualnego życia.

Pan Bóg przez długi czas tolerował w Izraelu wielość świątyń. Dzisiaj wiemy, że świątynia Jerozolimską była jedyną legalnie istniejącą świątynią dopiero od roku 620 p.Ch. Do tamtej pory w Izraelu było wiele świątyń. Wykopiska archeologiczne w Palestynie pokazują nam świątynie w Lachis, Aredzie itd. Wszędzie były świątynie.

W pewnym momencie było jasne, że kult Jahwe, który coraz bardziej oczyszczali prorocy, nie da się pogodzić z tym, co się robi w świątyniach prawdziwego Boga Jahwe. Mianowicie, w religii zanieczyszczonej synkretyzmem Jahwe przybiera postać bóstw lokalnych, kananejskich itd. Dlatego wewnętrzny rozwój religii wymagał, by inne świątynie były zlikwidowane. Zrobił to król Jozjasz. Odtąd jest jedna świątynia w Jerozolimie.



Monoteizm zaczął wymagać scentralizowania kultu w jednym miejscu. Przez długi czas owe wyżyny, na których Eliaś złożył swoją ofiarę z księgi, były legalne. Po pewnym czasie stało się jasne, że nie są do pogodzenia z dynamiczną czystością religii jahwistycznej. Muszą być zlikwidowane. I znowu król Jozjasz je likwiduje. I tak w wielu odcinkach widać, jak powoli Bóg oczyszcza to, co Izrael wniósł jako lud pogański.

Na przykład święta -- jak one z naturalistycznych świąt agrarnych wiosny, lata i jesieni stają się świętami historycznymi, które wspominają wydarzenia historyczne, autentyczne. Już nie powrót życia na wiosnę, tylko wiosnę Izraela, tego, co Bóg zrobił dla niego w Egipcie.

Później historyzuje się święto namiotów. Tak jak Izrael mieszkał w szałasach, namiotach, tak samo wy będziecie mieszkali w namiotach. Historyzacja ta pojawia się dopiero w czasie wygnania.

Najpóźniej historyzuje się święto Tygodni, które w I wieku przed Chrystusem związane zostało ze świętem Synaju.

Tak więc widzimy, że Bóg wziął język, jak również kategorie myślenia z religijności naturalnej, ale je oczyszczał i przygotował na przyjęcie rzeczywistości wiary. A także trzeba pamiętać, że religia sama w sobie jest dobra i chrześcijaństwo to, co najlepsze w religii naturalnej, wchłania w siebie, choć samo jest czymś o wiele większym, przewyższa ją, pokazuje jej głębszy sens. Religia naturalna jest jak gdyby naturalnym prorocstwem, wołającym o dopełnienie, które przychodzi w chrześcijaństwie.

Teraz zajmiemy się problemem inkulturacji, która obecnie staje się bardzo modna. Uważam, że jest to problem trudny. Niedawno w Rzymie odbyła się konferencja katechistów, tzn. odpowiedzialnych za wspólnoty neokatechumenalne na całym świecie. Zjechało się chyba jakieś 190 osób.

Obecnie robi się katechezy w 60 krajach świata: na wyspach Samoa, wśród Polinezyjczyków, wśród pierwotnych ludów Australii, na Madagaskarze, w wielu krajach Afryki itd. Opowiadali oni, jak ta inkulturacja wygląda.

Przyjechali katechiści np. na Madagaskar i przedstawiają kardynałowi, co chcieliby robić. Mówią, że chcą głosić kerygmat. To nie jest ważne, inkulturacja jest najważniejsza -- słyszą w odpowiedzi.

Później pojechali w teren, dawali tam katechezy i zobaczyli, jak ta inkulturacja wygląda w praktyce. Księża mówią np. -- ludziom tym nie można mówić o śmierci. Istnieje tam lęk przed śmiercią. Tymczasem ludzie ci w ogóle nie wierzą w śmierć. Chowają swoich zmarłych płytko pod ziemią, blisko progów domów, tak, że umarli są pod ręką. Gdy przychodzi rocznica śmierci, wygrzebują ich i jeżeli trup jeszcze się nie rozkłada, malują go, przybierają i pacykują.

Albo gdzie indziej ludzie w ogóle nie mają pojęcia grzechu, nie wiedzą absolutnie, co to jest grzech i nie wolno o nim mówić. Jak to "nie wolno mówić", czy na tym polega inkulturacja?

Dajmy jeszcze inny przykład. Cechą kultury małgaskiej jest ogromna uprzejmość w codziennym życiu. Uprzejmość, ustępliwość, nie wolno nikomu nic odmówić. Ale ludzie problemy przecież mają. Przykład konkretny. Córka przychodzi do rodziców, przedstawia im kandydata na męża, mówi, że się w nim zakochała i chce, by był jej mężem. Rodzicom kandydat się nie podoba, ale uprzejmość nie pozwala im powiedzieć "nie". Młodzi żenią się, tylko że chłopak za dziewięć miesięcy zostaje otruty. A księża biorą tę uprzejmość za dobrą monetę. Zobacz, mówią, to jest właśnie chrześcijaństwo.

Albo w Kongo, w Zairze, sławny obecnie problem liturgii. Katechiści opowiadali, jak ta kongijska liturgia wygląda. Biskup wchodzi w lamparciej skórce. Przed nim niosą dzidy na znak, że wchodzi najwyższy przywódca klanu. Wszyscy tańczą, on też chodzi tanecznie. Co to znaczy? Jezus Pan przez 2000 lat pracował, żeby z krwawych ofiar zrobić Paschę. Zrobił z nich Eucharystię, a oni wracają do najbardziej prymitywnego pojęcia ofiary i w te formy wpychają Eucharystię. Na miły Bóg, to nie jest inkulturacja. To jest trwanie najbardziej istotnych treści chrześcijaństwa.

Widzę jedną rzecz. Jeżeli ksiądz biskup nie ma jasno w głowie kerygmatu, jeżeli nie wie jasno, na czym polega chrześcijaństwo, jeżeli nie ma jakiegoś zasadniczego kryterium, na podstawie którego można by inkulturację mądrze robić, to poświęca nieraz naprawdę wielkie treści chrześcijaństwa. Pan Bóg na pewno sobie z tym poradzi, bo Duch Św. rządzi w Kościele, ale problem jest.

W religiach -- jak mówi Sobór -- są odpryski prawdy, ale jest również wiele słomy, a chrześcijaństwo przyszło, aby być światłem i tego światła nie można zaciemniać ciemnością tamtych religii. To nie byłaby inkulturacja!

## ***Realizujący obietnice zbawienia Bóg spotyka się z wolnością człowieka (wiara biblijna)***

Kerygma -- jest to przepowiadanie, w którym zawiera się ABC chrześcijaństwa. To jest to, co stanowiło przedmiot przepowiadania Piotra w dniu Zielonych Świąt. To jest to, co mówił św. Paweł, gdy wędrował od miasta do miasta, z czym wychodził do pogan w swoich przemówieniach, w czym tkwiła moc. Owocem tego kerygmatu była wspólnota kościelna.

Gdy przybył Paweł do Antiochii Pizydyjskiej, nie było żadnej wspólnoty, gdy zaś wyjeżdżał, wspólnota ta już zaczęła istnieć. Jest ona pierwszą wspólnotą, parafią chrześcijańską. Dokonało się tak dzięki mocy kerygmatu.

Co takiego przepowiadał, że jak mówią Dzieje Apostolskie, zostali poruszeni. Dlaczego słowa Piotra wywołały w nich uczucie żalu, czemu zaczęli pytać o to, jak mają postępować, co właściwie robić? I odpowiedź -- zostańcie chrześcijanami. Co Apostołowie im mówili?

Ukazywali Krzyż Chrystusa, Jego Zmartwychwstanie i mówili o Duchu Św. Krzyż Chrystusa przedstawili w Jego funkcji sądzącej świat. Ten zabity człowiek to dzieło waszego życia, to wyście Go zabili! Słuchacze nie poprzestawali na tym, ale prosili, aby im Paweł mówił o tym szerzej, dlatego te spotkania trwały godzinami.

Czym jest grzech? Nie jest niczym dobrym, jest tragedią dla twojej egzystencji, rujnuje twoje życie, zabija wszelkie życie, szczęście. Sam zobacz: gdy ty jesteś "taki" ani ty, ani twoja żona, nie jesteście szczęśliwi. Ona również dokłada swoje grzechy i konsekwentnie powstaje w domu piekło. Człowiek z tego powodu cierpi.

Na ten stan Bóg nie pozostał obojętny, ale przysłał odpowiedź w Chrystusie. Chciał nam najpierw ukazać, że jesteśmy grzesznikami. Widział, że ludzie są zaślepieni, nie mają poczucia grzechu, usprawiedliwiają się, widząc winę tylko u innych, nigdy zaś u siebie.

W osobie Chrystusa ukazał nam, że jesteśmy grzesznikami. Krzyż ukazuje, że przez grzech, w sobie i w innych zabijamy życie. Ludzie wówczas zaczynają mówić: mój Boże, skoro tak się rzeczy mają, to ja również jestem winny tej śmierci, to ja także Go ukrzyżowałem.

Jest to ważne dla tych, którzy mówią: ja nie miałem z tą śmiercią nic wspólnego. Spokojnie, rękami bezbożnych tyś także tego człowieka ukrzyżował. Żydzi byli tylko tymi którzy, jak gdyby z twojego mandatu to zrobili. Mieli w sercu oczywiście tę samą pustkę, co ty -- nie rozpoznali Boga, który wszedł w ich szeregi. Uświadomienie ludzkości grzechów najlepiej dokonuje się w obliczu krzyża.

Św. Paweł mówi, że Chrystusa Bóg uczynił grzechem. Znaczy to, że na Nim skupił grzech całej ludzkości. Na Niego spłynęło całe zło i na Nim się zatrzymało.

Popatrzmy, jak inaczej dzieje się u nas. Spada na ciebie zło ze strony innych, to zawsze strząsasz je na słabszego. Małe porównanie: spotkało człowieka w swoim biurze nieszczęście, pominął go awans itp. Wraca do domu jak chmura gradowa. Żona w najlepszym humorze, akurat dla niego wysprzątała mieszkanie. Jej troskliwe, kochające serce oczekuje nagrody w postaci pochwały, zauważenia. Mąż w ogóle tego nie dostrzega, z niewytartymi butami wchodzi do mieszkania i od razu wyładowuje napięcie nerwowe. Przedmiotem niezadowolenia staje się wszystko, między innymi i to, że obiadu nie ma na czas itp. Zło, którego doświadczył, przerzuca na innych, na słabszych. Żona oczywiście jest tym wszystkim podenerwowana i teraz ona wpada w rozpacz itd. Przychodzi dziecko ze szkoły, wnosi nowe problemy. Teraz to już zaczyna się prawdziwe piekło.

Przychodzi wreszcie dobra wiadomość: Bóg tego Jezusa wskrzesił z martwych. Jeżeli Jezus umiera na skutek naszych grzechów, jeżeli to one Go przygwoździły, jeżeli to one są wypisane na Jego ciele i jeżeli tego Jezusa, który jest grzechem, przekleństwem, Bóg wskrzesił z martwych do nowego życia, to znaczy, że dla całej ludzkości jest otwarty wyrok uniewinniający, wyrok amnestii i przebaczenia. Pan Bóg tego grzechu nie pamięta, wybacza nam i daje Jezusowi nowe, zmartwychwstałe życie i pełnię Ducha Św.

Następnie św. Piotr ogłasza: w obliczu tego faktu obwieszczamy wam odpuszczenie grzechów waszych. Jezus swoje życie przekazał grzesznej ludzkości, aby w ten sposób dać jej nowe życie. Dzisiaj ten Jezus, który jest w moim przepowiadaniu, którego tobie głoszę, On do ciebie się zwraca.

On może ci dać swoje życie. On może to uczynić tak, tak jak uczynił z Apostołami w dzień Zesłania Ducha Św. Posyła do serc naszych Ducha Św., który tam dokonuje wielkich rzeczy, niszczy bowiem lęk przed śmiercią, zaszczepia nam zwycięstwo nad grzechem, sprawia, że w tej chwili odzyskujemy zaufanie do Boga. Wzbudza On w naszych sercach okrzyk: Abba -- Ojciec.

Ludzie, którzy to usłyszeli, zapytali: co mamy czynić, skoro tak się sprawy mają?

"Nawróćcie się" -- brzmi odpowiedź, uwierzcie w to, co wam mówię, postawcie na Jezusa Chrystusa, oprzyjcie się o Niego a zobaczycie, że Jego działanie zacznie was przemieniać i wtedy wasze życie stanie się drogą, na której Jezus Zmartwychwstały zaczyna zdobywać coraz to nowe połączenie człowieka i przemienia nas w chrześcijan.

Dzieje się tak przez Krzyż, Zmartwychwstanie i działanie Ducha Św., który w naszych sercach kształtuje i działa według zamysłu Ojca.

Odwołujemy się do Abrahama, który jest dla nas modelem wiary. Bóg, żeby powiedzieć na czym polega wiara, zamiast teoretycznych sformułowań użył konkretnej figury biblijnej. Jest nią Abraham. Zobaczmy, jak u niego funkcjonuje wiara, ponieważ musi być ona i w nas, jeżeli chcemy wejść w porządek chrześcijańskiej rzeczywistości.

Abraham zawierzył słowu -- poszedł w drogę, miał oczywiście chwile wątpliwości, gdy np. prosi o znak, kiedy sam zaczyna główkować.

Wiara to nie moment, to jest proces. Zrozumiał to Kościół i nazwał to sakramentem wiary, sakramentem chrztu. Obejmował on wówczas czteroletni proces katechumenatu. To wszystko był chrzest, jedna organiczna całość, w której człowiek miał chwile zwątpienia.

Innym obrazem tego samego problemu jest Izrael na pustyni, który wątpił, buntował się.

Dla pierwszych chrześcijan, którzy prawdziwie przeżyli te wartości, grzech psychologicznie jest dość trudny. Trudny do tego stopnia, że Kościół przez długi czas, właściwie aż do momentu pierwszych większych apostazji w drugiej połowie drugiego wieku, nie zdawał sobie jasno sprawy, że ma osobny sakrament, sakrament pojednania. Właściwie odpuszczenie grzechów widział tylko w chrzcie. Łączy się z tym konkretne zaangażowanie. Zrozumiał on, że Pan Bóg potrzebuje partnerów, osoby naprawdę wolne i że chrzest absolutnie nam wolności nie odbiera, owszem, jeszcze ją wyostrza.

Świętość chrześcijańska nie polega na treningu, przynajmniej tak być powinno. Nie jest to psychologiczne oddalenie się, odzwyczajanie się od grzechu, lecz chodzenie w kruchłości, w łamliwości i wiem, że jak długo trzymam się Pana Boga, to nic złego mi się nie stanie. Jeżeli zaś puszczam swoją dłoń, to mogę się spodziewać wszystkiego, mogę wpaść w nowe grzechy.

Dlatego wielcy święci powtarzali, że wystarczy, żebym wypuścił z ręki rękę Pana Boga, a pójdę spać z prostytutką.

Jak było to trudne, dowiadujemy się z Listu do Hebrajczyków: "Niemożliwe jest bowiem tych, którzy raz zostali oświeceni, a nawet zakosztowali daru niebieskiego i stali się uczestnikami Ducha Św., zakosztowali również wspaniałości Słowa Bożego i mocy przyszłego wieku, a jednak odpadli -- odnowić ku nawróceniu" (Hbr 6,4-6).

My wiemy, że to jest możliwe. Tutaj jest tak napisane ze względu na mocne przeżycie, jakim powinien być chrzest. Tak mocne, że zgrzeszyć to było coś okropnego, strasznego. Prawie niemożliwym wydawało się im powrócenie do dawnego grzechu.

Jednak chrzest nie odbiera nam możliwości grzechu. Możnaść zawsze pozostaje, jesteśmy bowiem zawsze w okresie próby. Dlatego św. Paweł powie później, że ten antagonizm między ciałem a duchem pozostaje i w ochrzczonej. Wydarzenie chrztu mówi, że możesz być zwycięzcą i to tylko wtedy, gdy trzymasz się Pana Boga, bo masz nowe pryncypium, które ci zapewnia i gwarantuje zwycięstwo.

Ciekawą rzeczą jest obserwować świętych. Ma się wtedy wizję, jak działa chrześcijaństwo. Czytać żywoty świętych i widzieć, jak oni faktycznie wzrastając w świętości coraz bardziej bali się grzechu. Tym częściej wołają do Boga: zachowaj mnie od grzechu! Są oni mniej pewni siebie, bo Pan Bóg dał im mocne światło, czym są i czym są bez Boga. Ma to również niemałe znaczenie dla nas.

Co innego głoszenie, a co innego wyjaśnianie. Ja mogę ci podać treść i to nie jest to samo, co głoszenie kerygmatu, bo z głoszeniem kerygmatu złączona jest obietnica: "Ja będę z wami po

wszystkie dni, aż do skończenia świata" . Odnoszą się te słowa do Kościoła ewangelizującego, byle głosił Ewangelię, a nie inne bzdury.

Widzę, że ta moc jest, że ludzie słuchają i że dzieje się tak, jak mówi przypowieść o siewcy, że są cztery grupy ludzi, że to nie dzieje się automatycznie. Jedni nie rozumieją i mówią, że gada bzdury. Drudzy przyjmują z radością, ale przychodzi próba i z miejsca odpadają. Z trzecią grupą przez jakiś czas jest dobrze, lata jednak lecą, przychodzi zmartwienie i odpadają. Tylko czwarta grupa przynosi owoc.

Pan Jezus nam to przepowiedział, uprzedził o tym. Nie dziwcie się, to nie dzieje się automatycznie. Plon Boży nie będzie duży. Sporo ziarna zmarnuje się. Problem jest w tym, czy jest Chrystus w tym, co głosimy. Jeżeli robimy to sami, to z góry skazane jest to na niepowodzenie.

Św. Jan miał na myśli niewątpliwie także tę prawdę, gdy przytacza nam fakt uzdrowienia chorego, któremu Jezus, żeby go uświadomić, że jest ślepy, przemywa oczy błotem. Urodził się w ślepotcie, gdzie nie ma kolorów. Nie był w stanie zazdrościć tym, którzy widzą. Dla niego świat jest taki, z jakim się oswoił, świat ciemności i to jest dla niego jedyne. Dopiero, żeby mu było niewygodnie, Jezus mu nakłada na oczy błoto, (to go swędzi), po czym nakazuje mu obmyć się w sadzawce.

To pójście do sadzawki i obmycie się jest symbolem chrztu. Jest to zatem perykopa chrzcielna, gdzie chrzest został przedstawiony jako obmycie i oczyszczenie człowieka.

Podobnie i dzisiaj -- trzeba błota, aby ludzie zrozumieli, że Pan Bóg rozpoczyna swoją pracę w tych, którzy nie mają żadnej świadomości. Jezus powiedział, że złodzieje i prostytutki wyprzedzają nas w drodze do królestwa niebieskiego, ponieważ stoją oni w tym miejscu, gdzie może ich dotknąć łaska Boża.

Jeżeli natomiast Pan Bóg szuka cię w twej rzeczywistości, a ty zamiast zdać sobie z niej sprawę, siedzisz z wysokim wyobrażeniem o sobie Pan Bóg szuka cię w twoim życiu, a w twoim życiu cię nie ma, siedzisz tylko w iluzjach, w alienacjach, w fantazjach na temat samego siebie. Wtedy Pan Bóg musi cię ściągnąć do prawdy o sobie.

Wiara a religia. -- Dzisiejsi ludzie przeżywają chrześcijaństwo jakby było jakąś religią, podczas gdy jest ono znacznie czymś więcej.

Wiara wchłania w siebie, asymiluje to, co w religii jest naprawdę wartościowe, co pochodzi od Boga. Wiara jest czymś nieskończenie większym od religii. Religia historyczna nie jest tym samym, co religia naturalna.

### ***Zbawienie według świata i według Jezusa Chrystusa***

Kościół dzisiaj przeżywa konfrontację ze światem, który w ostatnim 50-leciu ogromnie się zmienił. Stało się tak między innymi na skutek wojen oraz wydarzeń ostatniego 30-lecia.

Upadają tradycyjne wartości. Człowiek odrzuca nawet najbardziej uświęcone pryncypia życia społecznego. Zauważmy ogólny upadek wartości, na których wspierało się życie religijne, a które w gruncie rzeczy było inspirowane przez chrześcijaństwo.

Wszystko to zostało powleczone grubą patyną sekularyzacji, ateizmu, pozytywizmu laickiego itd. Faktem jest, że świat się ogromnie pod tym względem przewartościował i w tej chwili Kościół ma przed sobą ogromne połacie świata, dla których religia przestała być inspiracją.

Świat, który Kościół ma przed sobą, można podzielić na grupy ze względu na mentalność, jaka w nim występuje.

Kościół ma do czynienia z człowiekiem zlaicyzowanym w tym sensie, że odrzucił on wszelkie ideologie, wszelkie filozofie, dla którego pozostała jedynie wiara w postęp ludzkości, wiedzy i cywilizacji, dla którego liczy się praca i wydajność.

Jest to figura jakiegoś laickiego technokraty, który buduje postęp. Jest to wiara olbrzymia. Wiara, która przeżywa swój ogromny aplauz od wojny aż do lat 70-tych. Jej apogeum było zdobycie Księżycy i to było maksimum. Przez ostatnich parę lat obserwujemy raczej przyćmienie tego blasku, tej wiary, tego entuzjazmu.

W modzie była socjologia usiłująca rozświetlić wszystkie tajniki życia społecznego. Były jednak problemy, które są bardzo poważne. Człowiek sobie nie radził z własną psychiką. Jeżeli sam nie mógł nic zdziałać, po radę udawał się do psychiatry. Jeżeli tracił równowagę, ratunku szukał u psychiatry.

W obliczu takiego świata znajduje się Kościół. Zdaje on sobie sprawę, że Chrystus go posłał, aby głosił Ewangelię.

Mamy więc przed sobą takiego człowieka. Człowiek ten jest na Ewangelię mocno zamknięty. Jest głuchy i nie chce jej słuchać. I tutaj rodziły się pytania, które brzmiały w Kościele: Co mamy robić? Jak rozbić tę skorupę? Jak "dobrać" się do takiego człowieka? Pytanie to było modne w latach rozkwitu Akcji Katolickiej w latach 50-tych.

We Włoszech, Francji, wszędzie powstawały wielkie demokracje chrześcijańskie i rosły w ogromną siłę. Tam właśnie pytanie to było aktualne.

Odpowiedź była, świadomie czy nieświadomie mniej więcej taka; że jeżeli oni nie chcą nas słuchać, nie chcą wejść na nasze piętro, to usiłujmy my zejść do nich, nauczmy się ich języka, ich kategorii myślenia i wtedy staniemy na jednej płaszczyźnie. W ten sposób może się kiedyś dogadamy, znajdziemy wspólny język.

Wtedy zaczęło się dowartościowywanie ze strony Kościoła takich nauk jak socjologia, psychologia. Wtedy wprowadzono do seminarium kursy socjologii i to tak mocno, że teologia poszła do kąta. Zwracano większą uwagę na te rzeczy niż na teologię.

W konsekwencji okazało się, że owoce tej praktyki były o wiele mniejsze niż się spodziewano, mało kogo tą drogą nawrócono. Natomiast tamta mentalność, tamta logika przeszczepiła się również na Kościół.

Wiara w Chrystusa, ta teoretyczna, błada jak zimowe słońce, niczego nie zmieniła w życiu konkretnego człowieka. Jest to jeden z przejawów, którymi świat wtargnął do Kościoła. Zaraził naszą mentalność. Musimy być tego świadomi. Nie potępiać tych wartości, lecz wierzyć w to, co mówią Dzieje Apostolskie, że nie ma zbawienia poza Chrystusem. Kościół ma od Boga inne środki, najskuteczniejsze lekarstwo, jeżeli wierzymy tylko w jego skuteczność.

W czasie pobytu w Holandii w 1969 r. zwiedzając nasze domy, chciałem się zorientować, co tam nowego. Holandia wówczas imponowała wszystkim, mnie też. Wtedy w naszym kolegium w Amsterdamie pewien młody ojciec powiedział mi: Oto jestem w pracy, dzielę całą klasę na grupy. W małych grupach pracuje się lepiej. Dobrze, pytam dalej, a gdzie jest twoja misja jako "ministra Chrystusowego" w Kościele? Chrystus ma moc rozlewać w sercach miłość, jedność itd. i do tej jedności prowadzić.

Zwykle to nie wchodzi w rachubę. Jedność tworzy się na podstawie dobrania ludzkiego, na podstawie cech charakteru, ale czy Chrystus nie potrafi usunąć barier? O tym nie było mowy. Jest to papierek lakmusowy, który ilustruje, w czym rzecz. Myśmy się również tą mentalnością zarazili, zastąpiliśmy tą mentalnością wiarę.

Drugi typ człowieka, który spotykamy w świecie, to mentalność społeczna, mentalność ludzi, którzy nie odrzucili wszelkiej ideologii, którzy przyjęli jedną ideologię, jedną wiarę. Raj można zbudować tu na ziemi, a trzeba to robić przy pomocy reform i przewrotów życia społecznego.

Dziwię się czasem, jak ludzie dawniej mogli całymi wiekami żyć, nie czując w sobie żadnego protestu przeciw małej warstwie arystokracji, czy też uprzywilejowanych panów, którzy mieli wszelkie bogactwa, a olbrzymie masy żyły w lepiankach, w straszliwych warunkach. W tej chwili jest to nie do pomyślenia. Ta mentalność skończyła się bezpowrotnie.

Z faktem tym spotykamy się po raz pierwszy z chwilą rewolucji francuskiej. Później Napoleon swoimi podbojami rozszerzył to na całą Europę. Na Zachodzie tym ruchem, który kanalizuje te aspiracje społeczne, jest komunizm. Drogą zaś do tego, zgodnie z hasłami komunizmu, jest rewolucja. Rewolucja i to krwawa, o ile inaczej nie można.

Kraje wschodnie nie muszą już o tym szczęściu marzyć, ale wielu w krajach zachodnich wierzy, że zbawienie przyjdzie przez komunizm. Gdy się mówi, że komunizm również błądzi, odpowiadają: u nas będzie inaczej (co za zaślepienie).

Ogromnie jest tym zarażona cała Ameryka Centralna i Południowa, gdzie siłą atrakcyjną stanowi Kuba.

Dla Kościoła jest to rola nowa, na którą ma rzucać światło Ewangelii. Rola ta jest jednak zamknięta na język Słowa Bożego, na świat religii. "Religia to opium dla ludu" -- takie tam panuje przekonanie. Religia usypia czujność rewolucyjną, ona każe akceptować istniejący porządek rzeczy. Trzeba ją zwalczać, ponieważ jest przeszkodą w zrywie mas, które usiłują osiągnąć sprawiedliwość sobie należną.

W związku z tym pojawiło się w Kościele pytanie: Co należy robić, aby znaleźć z tymi ludźmi wspólny język. Kwestia społeczna jest straszliwym problemem, który musi być wcześniej czy później rozwiązany, o ile świat nie ma zginąć. My ze swej strony musimy się w to włączyć.

I mówi się: Nauczmy się najpierw ich zasad, metod. Zobaczymy, co oni na ten temat mówią. Spotkajmy się na jednym terenie.

W Kościele na Zachodzie tworzą się paralelne komórki wśród chrześcijan, łączące Kościoły chrześcijańskie. Obok komunistycznych powstają chrześcijańskie związki zawodowe. Organizacje komunistyczne zajmują się kwestiami społecznymi. Organizacje chrześcijańskie przy parafiach mają takie same aspiracje. Niestety, ludzie ci dosyć szybko spostrzegają, że mając za sobą usta Ewangelii Chrystusowej daleko nie zajadą.

Wszystko kończy się u nich na gadaniu i krytykowaniu. Zazdroszczą natomiast, że ci, którzy tego balastu nie mają, szybko zabierają się do czynów i to takich, jakich wymaga sytuacja. Zabierają się do rewolucji, uprawiają partyzantkę i to okazuje się skuteczne.

Większość tych grup kończy na tym, że opuszczają Kościół. Inni natomiast usiłują dalej balansować, nie bardzo wiedząc, co należy robić.

Jezus mówi: "miłuj nieprzyjaciela". Z drugiej strony wiem, że jeśli mam wydrzeć temu, który ma więcej i dać temu, który nie ma, to on mi dobrowolnie nie odda, choć niesłusznie zagarnął, muszę więc wydrzeć mu gwałtem, muszę sięgnąć po karabin. Tymczasem, jak tu strzelać do kogoś i mówić: "Kocham cię!". To jest absurd, to wygląda na groteskę.

Pojawia się w tym miejscu "teologia wyzwolenia", która usiłuje pogodzić jedno z drugim, która zło społeczne widzi w niesprawiedliwych strukturach ustrojowych. Teologia wyzwolenia w swych radykalnych strukturach sięga do sprawiedliwych władz ustrojowych, które znajduje, niestety, w marksizmie teoretycznym. Teoretycznie wydaje się to słuszne, odrzuca bowiem cały balast ateistyczny, a przyjmuje całą doktrynę ekonomiczną i społeczną.

Teologia ta dokonuje niedozwolonej operacji spłaszczenia całego problemu. Mówi, że zbawienie w ścisłym tego słowa znaczeniu, o którym mówi Biblia, dokonuje się wtedy, gdy wyzwolę się z głodu, sytuacji nędzy, z głodowych pensji, z których nie możesz wyżywić rodziny. To jest zbawienie, wyzwolenie, jakie przyniósł Jezus Chrystus. I do tej sytuacji teologia wyzwolenia stosuje -- przykrawa Biblię.

Opowiadali mi niedawno katechiści z Nikaragui, że tam księża uczą wprost, że w zeszłym roku, gdyśmy wygnali Somozę, gdy nastał sandinizm, naród nasz dokonał "wyjścia". Teraz jesteśmy na pustyni, idziemy do ziemi obiecanej.

Jeszcze lepiej; są księża, którzy zmienili formułę przy chrzcie: "czy wyrzekasz się szatana i wszelkiej pychy jego?" na "czy wyrzekasz się związku z kapitalizmem, kapitalistami, czy przyrzekasz wierność ideałom sandinizmu?".

Wyraz ten pochodzi od nazwiska zmarłego już generała, legendarnego pierwszego bohatera narodowego z 1935 roku, który zerwał się przeciwko kapitalistom i pozostał dla nich symbolem walki.

Trzech księży zasiadło w rządzie Nikaragui. Papież kazał im zrezygnować, ci jednak okazali nieposłuszeństwo. Dał im termin do Bożego Narodzenia. W odpowiedzi, do tej trójki dołączył czwarty.

Tak wygląda sytuacja, to jest wejście logiki świata do Kościoła i szukanie praw obywatelskich. Do niedawna myślałem, że na wschodzie, u nas, sytuacja jest inna. Teraz, po roku 1980, wydaje mi się, że jest podobna, z tą tylko różnicą, że dla nas tym ciemniejszą nie jest kapitalizm, lecz komunizm.

Widzimy, że komunizm to taka sama lipa jak kapitalizm, nawet jeszcze gorsza, jeszcze gorsze lekarstwo, które szatan wymyślił dla ludzkości.

W tej chwili i u nas pojawia się protest: "zwalmy to jarzmo, dokonajmy wyjścia". Wydaje mi się, że jesteśmy na tej samej płaszczyźnie, z tą tylko różnicą, że zmieniła się personae dramatis. Tam był kapitalizm, tu komunizm.

Wydaje mi się, że Kościół zaczyna iść tą samą drogą. Stoi przed nim niebezpieczeństwo wejścia w logikę taką samą, jaką mieli i w jaką weszli tamci. Tylko chcemy z komunizmu wrócić do kapitalizmu. Ale jeżeli te nowe struktury będą budowali ludzie według ciała, ludzie, którzy nie są wewnętrznie nawróceni, których Chrystus nie zbawił, zbudują taką samą lipę, która także problemu nie rozwiąże.

### ***Stojące na głowie sprawy społeczno -- polityczne Jezus postawił na nogi***

W Starym Testamencie cechą istotną przepowiadania proroków była krytyka społeczna. Piętnowali wszystkie grzechy społeczne, jakie dostrzegali w narodzie. Rzadziej, ale pojawiało się krytykowanie grzechów społecznych u innych ludów i narodów, nawet okolicznych.

W pierwszym rozdz. Amos opisuje strategię Syrii i wyraża dezaprobatę za to, że przy napadzie na Gilead użyto po raz pierwszy sań, czyli wozów wojennych z ostrzami (dzisiaj są to czołgi). Kosy te wjeżdżały w tłum i obcinały ludziom nogi. Było to coś strasznego.

Inne okrucieństwa: rozcinali łona kobiet ciężarnych. Dlatego koronnym argumentem biblijnym teologii wyzwolenia jest powoływanie się na proroków. Stary Testament posiada jeden znamieny wyjątek.

Gdy zbliża się koniec Izraela, wrogiem był straszliwy Nabuchodonozor -- wtedy racja stanu każe się zwrócić przeciwko Babilonii, każe szukać sprzymierzeńca gdzie indziej. Sprzymierzeńcem tym, mającym siłę mógł być wtedy Egipt. Powstaje wtedy w Izraelu silna partia proegipska, która szuka w Egipcie sprzymierzeńca i w tym celu śle poselstwo.

W tej sytuacji Bóg wysłał Jeremiasza do narodu z szokującym posłannictwem. Mówi w imieniu Boga, że wasze zbawienie leży w uległości królowi babilońskiemu, w przyjęciu okupacji. To "zaskarbiło" Jeremiaszowi opinię zdrajcy ojczyzny. Gdyby nie jakaś dziwna słabość króla Sedecjasza, który należał do partii proegipskiej, ale w głębi serca miał bojaźń Bożą, Jeremiasz zapłaciłby życiem.

Fakt ten cytuję w tym celu, żeby ukazać, iż historia zbawienia niejednokrotnie rozchodzi się z historią narodu. Biegają innymi drogami. I wtedy Pan Bóg żąda od swego narodu przekreślenia racji stanu i zawierzenia Bogu.

Ale w Starym Testamencie logika zbawienia pokrywała się z logiką narodowego zbawienia. Ziarno plonu zbawienia przechowywane było w ramach instytucji narodowych, instytucji państwowych. One również były podniesione do rangi typów biblijnych figur, które mają wiele do powiedzenia i które należy dzisiaj przetransponować na realia duchowe, stale obecne w chrześcijaństwie.

Normalnie przebiegało to wszystko bez kolizji. Były jednak wypadki, kiedy drogi te rozchodziły się i wtedy Bóg wymagał przekreślenia narodowej racji stanu dla Słowa Bożego.

Podkreślenia wymaga jeszcze jeden punkt. Oczekiwany Mesjasz posiadał cechy tego, który w dziedzinie społecznej zaprowadzi wreszcie porządek. Weźmie w obronę uciśnionego, zdepcze tych, którzy depczą prawo. On zaprowadzi sprawiedliwość.

Na tym tle dziwi nas ogromnie, że Nowy Testament odnośnie do problematyki społecznej i politycznej jest ogromnie neutralny. Nie podejmuje dalej tych torów, zupełnie one wygasły, jak gdyby ich nie było. Jest to tym bardziej dziwne, gdy zwraca się uwagę na sytuację społeczną i polityczną Izraela w czasach Jezusa Chrystusa.

Okupacja rzymska stawała się dość szybko dla narodów okupowanych faktem łatwo przyjmowanym, akceptowanym, ponieważ pax romana niosła ze sobą korzyści, które były od razu dostrzegane. Stąd ludzie szybko się z tym faktem godzili.

U Żydów tak nie było. Żydzi mieli ogromnie mocno wpojone poczucie godności narodowej, jako ludu wybranego przez Boga -- ludu, któremu nie wolno być niewolnikiem żadnego narodu na ziemi, żadnego władcy ziemskiego. Okupacja ta ciążyła Izraelowi mocniej niż innym narodom.

Oczekiwano Mesjasza i w tej godzinie problem polityczny będzie największym problemem. Mesjasz będzie musiał odnośnie tego problemu zająć odpowiednie stanowisko. Więcej, będzie to wódz narodowy, który wypędzi Rzymian.

Najbardziej skrajne stanowisko w tym względzie zajmowali zeloci. Była to dosyć silna partia, która wywołała zamieszanie polityczne, które doprowadziło do końca państwa żydowskiego w latach 66-70.

Koncepcja zelotów: czekamy na Mesjasza, ale robimy wszystko, żeby nie zastał nas nieprzygotowanych. Była to ukryta organizacja wojskowa. Posiadała własne ukryte arsenały broni. Mesjasz miał być ich wodzem.

Świadomość tego była tak mocna, że Jezus musiał unikać tytułu Mesjasza, żeby nie wywołać nieporozumienia. Przybrał inny tytuł, bardziej tajemniczy i dwuznaczny: Syn Człowieczy. Tytuł ten dla kogoś, kto żył Biblią mówił wiele. Natomiast dla kogoś, kto żył tylko polityką, odwetem -- tytuł ten nic nie mówił.

Jezus chodził w ukryciu. Jeżeli zdarzyło się, że w czasie Jego działalności ktoś wyznał wiarę w Jego Mesjaństwo, Jezus zawsze zaznaczał: tylko nie mów tego, dopóki Syn Człowieczy nie zmartwychwstanie. Bo gdy Ja przejdę przez śmierć, wszystkie złudzenia rozwieją się, wtedy będzie jasne kim jestem.

W czasie swej 3-letniej działalności Jezus działa, chodzi, mówi, jakby tej problematyki nie było, jakby istota rzeczy leżała gdzieś indziej. Chrystus zajmuje się wypędzaniem diabłów, leczeniem chorób, głoszeniem Ewangelii, które pozornie nie zawiera aluzji do sytuacji politycznej.

Jest jedna perykopa, która na ten temat coś mówi. Przychodzą do Jezusa z pytaniem: czy się godzi płacić podatek Cezarowi?

Partia zelotów mówiła wtedy zdecydowanie "nie", bo jest to nie tylko popieranie obcej okupacji, ale także grzech przeciw Bogu. Jest to grzech bałwochwalstwa, ponieważ monety te nosiły na sobie podobiznę tytułu Boga.

Faryzeusze, jako bardziej ugodowi, mówili, że trzeba się z tym stanem pogodzić, dopóki nie przyjdzie Mesjasz i kwestii tej nie rozwiąże.

W tej sytuacji przychodzą do Jezusa. Pytanie jest rzeczywiście drażliwe i dlatego dobrali sobie do kompanii herodianów -- partię polityczną, byli bowiem pewni, że Jezus narazi się teraz ludowi i utraci jego sympatię, albo zostanie aresztowany. Jezus w tym momencie prosi o monetę i pyta: Czyja to podobizna? Odpowiadają: Cesarza. Jezus odpowiada: Oddajcie co cesarskie cesarzowi, a co boskie -- Bogu.

Co należy oddać Bogu? Tutaj jest właśnie główny problem. Do Boga należy człowiek jako taki. Na monecie jest obraz cesarza, a na człowieku obraz Boga. Jest to wyraźna aluzja do pierwszego rozdziału Ks. Rodzaju. Mianowicie: Człowiek jako taki należy do Boga. Do tej własności cesarz nie ma żadnego prawa. Jak długo władza polityczna po tę własność nie sięga, tak długo ona jest zrelatywizowana.

Św. Paweł wychodząc z powyższej perykopy daje jej komentarz w 13 rozdziale Listu do Rzymian, gdzie mówi, że wszelka władza dana jest od Boga. Władzy ustanowionej należy słuchać, komu podatek -- podatek itd.

Z tą zasadą chrześcijanom w imperium było żyć o wiele trudniej, niż w jakimkolwiek innym totalitarnym systemie, ponieważ władza cesarska pretendowała do godności bóstwa, władzy nad sumieniem człowieka.

Pod koniec pierwszego wieku pretensje te zaczęły występować w ostrzejszej formie. Zwietrzyli oni to niebezpieczeństwo u chrześcijan. Ich zasada -- człowiek jako taki jest Boży i że Bóg jest nad cesarzem, wydało się groźne, i dlatego wydali Kościołowi prześladowanie. Jest to najważniejszy powód, dla którego Kościół był prześladowany. Kościół trzymał się tej zasady wiernie. Nie oddawał cesarzowi tego, co jest Boże, nawet kosztem własnej krwi.



W tej perykopie Jezus mówi, że jest sprawą drugorzędną, jaką ideologię ma dany ustrój polityczny. Ważne jest to, czego żąda on w praktyce od człowieka. Jeżeli sięga po własność Bożą, jeżeli dla siebie usiłuje zgwałcić sumienie, wtedy chrześcijanin mówi: Jestem gotów pójść nawet na śmierć.

Światło na to zagadnienie rzuca jeszcze jedna perykopa zapisana w Ewangelii Łukasza (Łk 12,13). Sytuacja jest typologiczna. Z jednej strony krzywdziciel, a z drugiej strony pokrzywdzony. Jezus jest Mesjaszem, o którym mówi Pismo Św., że ma zaprowadzić sprawiedliwość na ziemi. Nowy Testament cytuje to zdanie "Najdalszym krańcom ziemi On przyniesie wolność, sprawiedliwość. On uczyni prawo na ziemi"(Iz 42,1-4; Mt 12,18-21). I teraz przychodzi właśnie ktoś z prośbą o dokonanie sprawiedliwości.

Odpowiedź Jezusa w świetle tego proroctwa jest szokująca: "Człowieku, któż mnie ustanowił sędzią lub rozjemcą nad wami?". Dlaczego Jezus dał taką odpowiedź, dlaczego uciekł od problemu? Nie uczynił tego dla własnej wygody. Zwraca się do obydwu z taką katechezą: uważajcie i strzeżcie się wszelkiej chciwości. Jeżeli nawet ktoś opływa we wszystko, jego życie nie jest zależne od jego mienia.

Oznacza to, że Jezus zobaczył, że ten, który zabrał pieniądze swemu bratu, zabrał je dlatego, ponieważ wierzy, że życie przychodzi od pieniądza, od dóbr. Grunt to pieniądź! Drugi, który pragnie otrzymać część spadku, wierzy w to samo. To jest logika diabła...

Dlatego Jezus daje katechezę, która wskazuje na korzeń zła. Mówi ona, że tym korzeniem nie są zewnętrzne struktury społeczne tu czy tam (każde mniej lub bardziej są niesprawiedliwe). Problem jest w sercu człowieka...

Chrześcijanie są jedynymi, którzy o tym wiedzą. Świat bowiem o tym nie wie. Świat myśli, że gdy zmieni struktury, zło zostanie naprawione. Jezus jest Zbawicielem, tzn. że przyszedł naprawić serce. Jezus jeden na świecie robi prawdziwą politykę, bo leczy chore serca ludzkie. W sercu właśnie rodzą się grzechy.

Chrześcijanom Jezus powierzył sekret, gdzie leży problem. Posyłam was, abyście tę moją politykę dalej szerzyli. Żebyście się nie wdawali w rozstrzyganie sporów, bo ich nie rozwiążecie.

Wyobraźmy sobie, że z jakiejś rury wydostaje się zabójczy gaz, który zatruwa wszystko dookoła. To jest obraz świata. Ludzie mówią: Musimy to naprawić. Ratują chorych itd. W tym tłumie idzie ktoś, kto nie ratuje. Wołają do niego: Ty taki, owaki, pomóż nam, noś chorych razem z nami. On jednak nie reaguje na ten apel. Bo on chce zatkać pęknięcie, źródło zagrożenia, inaczej chorych trzeba by ratować do końca świata. Chrześcijanin to ten, któremu Jezus powierzył misję zablokowania tej dziury i funkcji tej nie wolno mu zdradzać.

Wydaje się, że Kościół zaczyna coraz bardziej wdawać się w spór między dwoma braćmi. Zaczyna zapominać o tym, co istotne. Naszym zadaniem jest leczyć chore serca ludzkie. Jeżeli tego nie zrobisz -- nic nie zrobiłeś. Chrześcijaństwo jest skuteczne w tej misji, w tej polityce. Jeżeli zniknęło niewolnictwo, to stało się to dzięki chrześcijaństwu.

Tam, gdzie pan stał się chrześcijaninem i część jego niewolników, tam św. Paweł mówi, że w Chrystusie nie ma pana i nie ma niewolników. Niewolnikom mówi: Ty jesteś wyzwoleniem Chrystusa. Wszystko się wyrównało.

Tam faktycznie panowały inne relacje społeczne. Na zewnątrz dalej panował ustrój niewolniczy, ale chrześcijaństwo w wielu punktach zaczęło mu odbierać jego żądło. Przestało ono istnieć od wewnątrz, niewolnictwo zostało uzdrowione w swym źródle -- w sercu chrześcijan, ściślej, w sercu Rzymian nawróconych na chrześcijaństwo.